



KLEMENS JUNOSZA SZKICE



Z ANTROPOLOGJI WIEJSKIEJ.



OBRAZKI I SZKICE

PRZEZ

KLEMENSA JUNOSZE.

(Z rysunkami Fr. Kostrzewskiego).

INSTITUT
BADAN LITERACKICH PAN
Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-330 Warszawa
Tel. 26-68-83, 26-52-31 w. 42

WARSZAWA.

Nakładem Redakcyi Gazety Rolniczej.

1888.



Дозволено Цензурою.
Варшава 28 Іюля 1888 года.

W drukarni M. Ziemkiewicz, Krak.-Przedmieście Nr. 17.

1309

Szanowny czytelniku dobrodzieju!

Aczkolwiek wszelkie przedmowy i wstępy są wynalazkiem czysto niemieckim, jednak, w pewnych wypadkach, obejść się prawie bez nich nie można. W danym razie naprzykład wstęp jest koniecznie potrzebny, w nim albowiem zastrzedz muszę, że niniejsze szkice mają być tylko szkicami, bez żadnej pretensyi do lepszego tytułu.

Co oko widziało, co ucho słyszało, a poniekąd co serce odczuło, ręka przenosi na papier i robi się z tego obrazek szary, pozbawiony wszelkich barw jaskrawych. Szary, powtarzam, jak życie samo, jak nasza dola marna. I to jeszcze zastrzedz muszę, że kreśląc te obrazki, nie chcę być chłopojadem, ani chłopofilem, ani filosemitą, ani antysemitą, ani w ogóle fabrykantem tak zwanych „sensów moralnych“.

Gdy któremu z czytelników przyjdzie chęć wyprowadzenia z mej pracy jakichś wniosków ogólnych, niech będzie łaskaw uczyni to na własny rachunek i na własne ryzyko.

Fotograf, nie odpowiada za to, jeżeli ktoś ma brodawkę na nosie; on robi portret i robi go, naturalnie, z brodawką, a czy się ta komu podoba lub nie, to już rzecz gustu.

Oto i cała przedmowa; stawia ona kwestyę jasno, a ma tę nad innymi przedmowami wyższość, że, jak czytelnik uważa, jest krótka. A teraz, do rzeczy...

I.

Tło obrazku jest szare, jak zachmurzone niebo na jesieni, a na tem tle wioska, zwyczajna wioska polska.

Chałupy po obydwóch stronach drogi, na wzgórzu krzyż, dalej karczma odrapana, brudna; kuźnia z wypalonymi w ścianach dziurami, ze słupkiem do wiązania koni, opodal kościółek w wieńcu lip starych, plebanja z ogrodem, dalej dwór i folwark, a jeszcze dalej, na wzgórzu, cmentarz, jak zwykle cmentarz wiejski.

Brzozy na nim rosną, krzyże stoją, a niedomknięta brama skrzypi na zawiasach żałośnie, skoro nią wiatr silniej poruszy.

Po za chałupami, za plebanją i karczmą, za dworem, za wiatrakiem, pola się ciągną i łąki, dalej las czarny szumiący, niby sosnowa rama obrazu, las, do którego płowe drożki zbiegają się jak węże do gniazda. Po tych polach, łąkach i drózkach, uwijają się ludzie w sukmanach, w kamlotowych chałatach, w surdutach, pracują, modlą się, weselą i smucą, niekiedy i kradną; kochają się i oszukują, jak zwyczajnie ludzie.

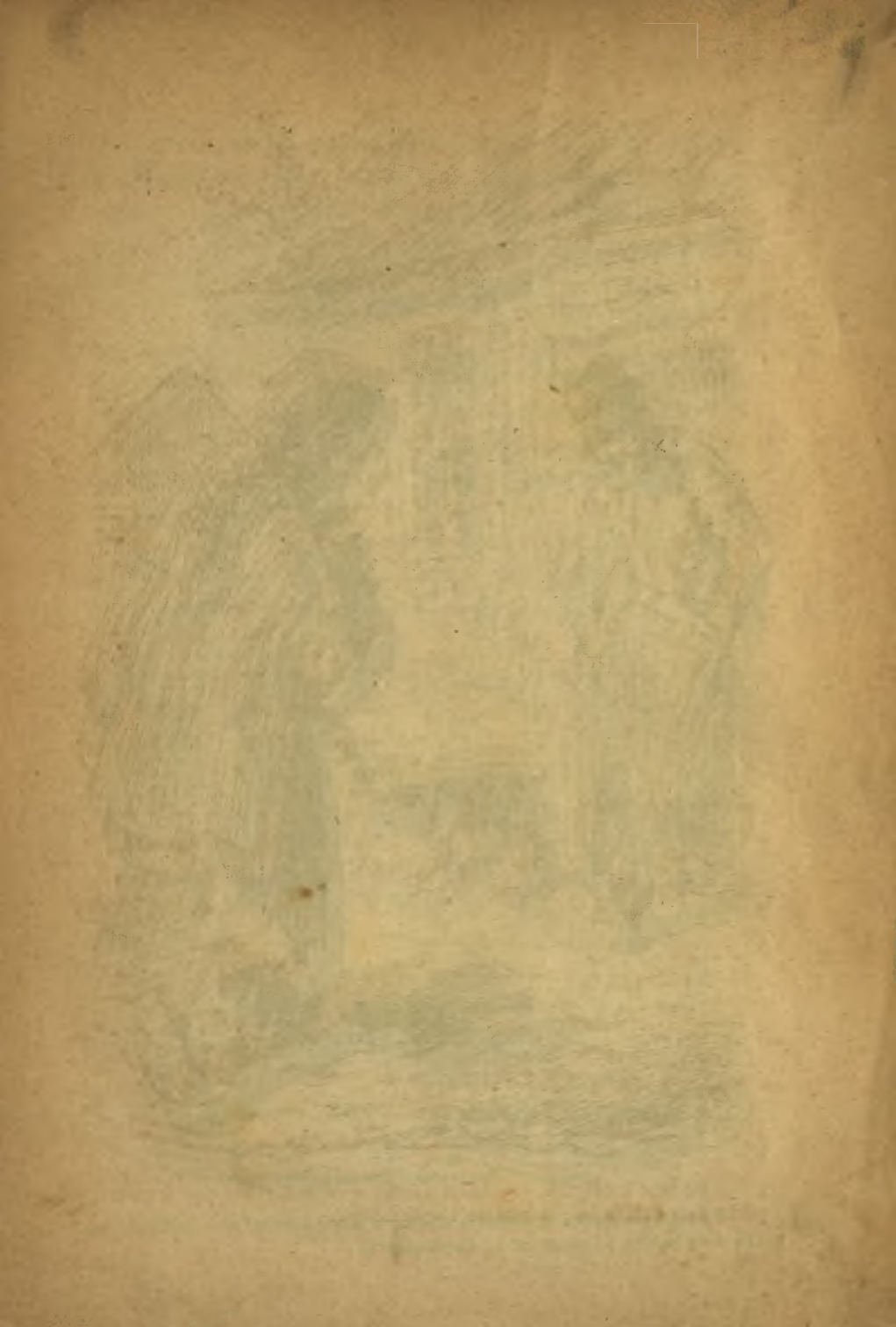
Jednakie prawa rządzą i wielkim światem i małym.

W naszej wiosce, w tej właśnie wiosce, którą mamy zamiar malować, są oprócz chałup prywatnych i gmachy publicznego użytku. W drewnianych ścianach swoich mieszczą one instytucje, bez których żadne cywilizowane społeczeństwo, a tem bardziej Biedna Wola, obejść się nie może.

Tu oto, naprzykład, nad czarną, szeroko rozlaną kałużą, w domku, który ma jedno okno opatrzone kratami, a inne, w osłabionych punktach zalepione papierem, mieszka samorząd gminny, tu silnym pulsem uderza życie publiczne.

Świadczą o tem wydeptane kopytami końskimi doły, resztki siana i obroku, których wiatr zdmuchnąć, a pacheiarskie kury wydziobać nie zdołały.

Tu, raz na parę lat, burzą się namiętności wyborcze, i toczą walki stronnictw, tu parę razy do roku, w głębokim milczeniu odbywają się poważne narady, w najżywotniejszych interesach tego małego światka.





Do tego przybytku, z nadzieją słodką w sercu a okazałym kogutem pod pachą dąży babina po paszport do Częstochowy...

Do tego przybytku, z nadzieją słodką w sercu, a pokazanym kogutem pod pachą, dąży babina po paszport do Częstochowy; do tego przybytku, z uśmiechem na ustach i rubelkiem w kieszeni, śpieszy żydek po informacye jakiejś, lub po „świadectwo bydłce..“

Tu nareszcie, w tym domu, który ma jedno okno zakratowane, burzliwy obywatel, co miarę w trunku przebrał i awanturę niesłychaną zrobił, znajduje kąt do przespania i wytrzeźwienia się; tu (w tej połowie, która zakratowanych okien nie ma) mieszka najtęższa głowa w całej gminie, pan pisarz!

Któż go niezna? kto mu się nie kłania? kto go nie potrzebuje?

Czuje on własną godność i ważność swego stanowiska a nie tylko on sam, ale cała atmosfera wioskowa jest tak tem przekonaniem przejęta, że nawet krowa pisarska (stworzenie skąd inąd wcale nie inteligentne), wchodzi w chłopski owies, majestatycznie, powoli, ze łbem podniesionym do góry, ponieważ wie, że ją wszyscy znają, i że jej właściciel pola w sposób grubijański ze szkody nie wypędzi.

Bydłę także wie jakie ma przywileje.

Prócz tego gmachu, są jeszcze inne, jeden, w którym mieści się sąd, drugi—szkoła.

W pierwszym, przez cały okrągły rok, odbywa się wymiar sprawiedliwości detalicznie i hurtowo, w drugim pali się światło wiedzy, tylko od czasu wykopania kartofli, a ściślej mówiąc, od pierwszego śniegu, do chwili pokazania się pierwszej trawki, do chwili, w której gęsi, trzoda i bydło, mogą znaleźć jakie takie pożywienie na pastwisku.

I małym dzieciom nawet wiadomo, że w sądzie jest „pan sakretarz“, a w szkole „pan profesor“, że bez pierwszego nie byłoby na świecie sprawiedliwości, a bez drugiego nauki, że zaś w ogóle na wsi, jak i na całym świecie zresztą, większy jest

popyt na sprawiedliwość, aniżeli na mądrość, przeto panu sekretarzowi dzieje się lepiej, a panu profesorowi gorzej: pierwszy liczy dochody na ruble, drugi na grosze, pierwszy jada tłusto, drugi chudo, pierwszy nie zazdrości drugiemu, a drugi pierwszemu bardzo.

I ta jest jeszcze między nimi różnica, że pan sekretarz ma żonę, dzieci i buty, a pan profesor tylko buty i to o tyle, o ile ma otwarty kredyt u szewca.

Historia uczy że tak zawsze bywało, a jeżeli wielcy nauczyciele ludzkości, których imiona do dziś dnia żyją w pamięci pokoleń, mogli chodzić boso, (jak dzieje twierdzą i mistrze nauczają), to nauczyciel z Biednej Woli powinien się uważać poniekąd za szczęśliwego, mając buty niezupełnie dziurawe i będąc przyjmowanym w domu pana sekretarza i jako gość i jako pomocnik do przepisywania papierów sądowych.

Pachołek Minerwy, pomaga pachołkowi Temidy, a świat na tem korzysta i płaci...

Naturalnie, że płaci, o ile opłata nie da się zamienić na areszt, co w Biednej Woli było już raz na zebraniu gminnem powodem gorących debatów, bo gdy „pan profesor“ wniósł przed areopag zażalenie, że niema co jeść, ani w czem chodzić, wzruszeni do głębi serca gospodarze, jednomyślnie postanowili powiększyć składkę na szkołę, z tem wszakże zastrzeżeniem, że i uchwaloną przewyżkę i bieżącą składkę, zamiast złożyć gotówką, z całą przyjemnością w kozie odsiedzą.

Poratować człowieka poczciwego, a zwłaszcza profesora, „pana profesora“, rzecz godziwa i słuszna, ale na te ciężkie czasy, kiedy kredyt całkiem przepadł, a o gotówkę strasznie trudno, praktyczniej jest należności odsiadywać, aniżeli płacić. Na to zdanie zgodziłby się zapewne nie jeden finansista, lub magnat, a cóż dopiero sześciomorgowy gospodarz z Biednej Woli!

Pan profesor wszelako nie poznał się na doniosłości ofiary i rzeczy zostały po dawnemu; profesor biedę klepał jak zwykle, a gospodarze jęczeli, że ich brzemię utrzymania przybytku wiedzy i mądrości bez miłosierdzia gniecie i uciska. X

Narzekali tedy dobrzy ludzie w sposób wzruszający i nie tylko na szkołę narzekali, nie rozumiejąc, że mają samorząd i że taka przyjemność, jak każda przyjemność na świecie, po- ciąga za sobą pewne koszta ..

Kiedy tylko była mowa o nowej składce spadającej na morgi, które z urzędu są przeznaczone na konduktory do ściągania tych drobnych, kieszonkowych piorunów, — z piersi chłop- skich wydobywały się ciężkie jęki i westchnienia.

Wtórował im wójt, wtórowali sołtysi z całej gminy (natu- ralnie w charakterze prywatnym), gdyż w urzędowym charak- terze, wójt ciężką ręką podpisywał uchwały i rozkłady, a soł- tysi rozchodzili się po wioskach, niby bociany po bagnach; wę- drowali od chałupy do chałupy, w celu wybierania tej ilości kopiejek, jakie „morga“ na dany cel wydać z siebie jest obo- wiązana, pod rygorem natychmiastowej egzekucyi.

Po zapłaceniu jęki milkną, dopóki nie przyjdzie nowy termin, a wraz z nim nowa sposobność do westchnień i lamem- tów.

Sama akcja wynurzania uczuć i uskarżania się na kło- poty pochodzące z nieba, w postaci różnego rodzaju opadów at- mosferycznych, tudzież na kłopoty czysto ziemskiej natury, ma- jące związek z kieszenią, ze stagnacją ogólną, niską ceną zboża, jako też i akcja powierzania przyjaciółom i sąsiadom tajemnic finansowych i rodzinnych, odbywa się w oddzielnym (zdaje się, że nawet specjalnie na ten cel wzniesionym) budynku, istnie- jącym pod firmą dwóch świeckich patronów, z których pierwszy ma na imię „Rospiwoczno“, a drugi „Nawynos“.

Tak opiewa znak firmowy, a pod nim, jak fijołek pod kępą trawy, kryje się obywatel wyznania mojżeszowego, jak w tym wypadku, znany w całej okolicy pan Mendel Kwiat...

Powiedziano, że kryje się, i nie należy tego uważać za poetyczną alegoryę.

Nad rasą, z której wywodzi swe pochodzenie pan Mendel, od niezmiernie dawnych już czasów wisi fatum, utrudniające jej sprzedaż detaliczną trunków krajowych i zagranicznych w obrębie gmin wiejskich; że zaś stwierdzoną jest rzeczą, iż prawdziwa a gorąca miłość łamie wszelkie przeszkody, więc Mendel, który się szalenie kocha w okowicie od najmłodszych lat życia, znajdzie zawsze sposób, żeby się z nią w namiętnym uścisku handlowym połączyć.

Tak się dzieje wszędzie, a wiec i w Biednej Woli.

W obec władz akcyznych, patentowaną „Hebe“, zalewającą głowy chłopom za umiarkowane wynagrodzenie, jest stara Jacentowa, głucha zupełnie i niedowidząca, ale zresztą ciesząca się pełnią sił i zdrowia.

Ona tu jest gospodynią w obec tych oczu finansowo administracyjnych, które specjalnie na sprawy wódczane zapatrywać się mają.

Sam pan Mendel, z rodziną i domownikami, których liczba tuzin, a kardynalny przymiot delikatność, mieszka sobie w karczynie, jako człowiek „utrzymujący się z własnych funduszów“.

Dla poratowania nadwątlonego zdrowia osiadł on w Biednej Woli na „letniem mieszkaniu“.

Mógłby kto zarzucić, że w zimie (a Mendel i w zimie karczmy nie opuszcza) nikt letniego mieszkania nie używa, ale kto przeniknie mądrość doktorów?

Jeżeli każą przepędzać na wsi zimę, to muszą mieć po temu swoje racje i pewnością delikatne zdrowie na tem nie traci.

Wymownym dowodem pożyteczności takiej kuracyi są po-
 kazne kształty samego Mendla, ogorzała twarz jego małżonki
 Chai-Sury, oraz szalony apetyt delikatnych dzieci, z których
 każde, po spożyciu całych sześciu kartofli, gotowe jest rzucić
 się jeszcze z chciwością na kawałek śledzia, na chleb, na czarną
 rzodkiew, na cebulę i wszelkie w ogóle smakołyki.

Taka już jest właściwość „delikatnej natury“, a w obec
 tego nie trzeba się dziwić, że, gdy się „bachorek“ milionów
 dorobi, to chciałby samego Lukullusa w przepychu przewyż-
 szyć.

Taki osobliwy apetyt!

Rozmyśla o nim często Mendel, w chwilach wolnych od
 nalewania kieliszków i od zawierania drobnych finansowych
 tranzakcyj, dysputuje też nieraz na ten temat z Wigdorem
 i Joyną, przebywającymi również dla poratowania zdrowia
 w Biednej Woli, dysputuje, gdy karczma jest pusta i przyjez-
 dnych niema.

Bywają albowiem i takie chwile; dla czego nie mają by-
 wać? Słońce miewa niekiedy zaćmienia... karczma pustki.

Za to, gdy mniej ludno i gwarno, gdy akcja jęków i wy-
 nurzeń wzajemnych się rozpocznie, Mendel zamienia się w ucho
 Żaden wyraz nie ujdzie jego uwagi, bo Mendel zna tę głęboką
 maksymę, że „kto wiele wie, wiele korzysta“.

Mendel w swoim życiu dużo czytał, dużo słuchał, a nie
 wiele mówił; chłop zaś nie czyta, niechętnie słucha, a gdy
 parę półkwatek wypije, to wtedy mówi bez końca i miary.

Taki jest odwieczny obyczaj w Biednej Woli i wszystkich
 podobnych jej wioskach.

Przyjaciele, a podobno i krewni Mendla, panowie Wigdor
 i Joyna, osiedlili się we wsi niedawno, a osiedlili się dla tego,
 że w miasteczku było im za duszno i za ciasno, a oni lubią
 świeże powietrze i przestrzeń.

Utrzymują się również z „własnych funduszów“, a z Mendlem żyją w rozczulającej harmonji i w jednej czternastej części należą do wszystkich jego przedsięwzięć, w myśl znowuż zasady że małe strumyki tworzą wielkie rzeki i że, kto w gromadzie idzie dochodzi dalej, aniżeli taki co sam chodzi.

Zresztą, co trzy głowy, to nie jedna głowa, a co trzy żydy to nie jeden żyd.

II.

Jest wieczór świąteczny, to jest dzień, w którym pan „Rospiwoczno“ robi stanowczo lepsze interesa aniżeli pan „Nawynos“—dzień, w którym Mendel się uśmiecha, Chaja-Sura rozbija pantofle z szybkością trzech do pięciu klapnięć na sekundę, a głucha Jacentowa kręci się, jak za dobrych czasów swej młodości.

Do karczmy powoli nadchodzą ludzie, między nimi zaś widzimy męża w granatowej kapocie, w rogatej czapce, o kształtach wspaniałych, i nosie potężnym, pod którym, jako dwa krzaki jałowcu przy piaszczystym wzgórkcu, sterczą okazałe wąsiska.

Mąż ten wchodzi do karczmy i zaraz w progu mówi potężnym basem:

— Niech będzie pochwalony!

— Niech un sobie będzie, odpowiada z całą uprzejmością Mendel, dla czego niema być?!

— Witajcie dobre ludzie.

— Witajcie, panie Onufry, witajcie panie Grzędzikowski, witajcie!

— Miłosierny Bóg dał święto i wieczór... Byliśmy w kościele jako się patrzy—godzi się zatem tedy, na ten przykład przepłukać, na to mówiący, choćby i grzdykę.

— Sprawiedliwie Grzędzikowski mówi—co sprawiedliwie, to sprawiedliwie!

— Aj waj! i jak sprawiedliwie, aż miło posłuchać... Chaje Sure! gaj bryng a grine gąszor.. Gicher! gicher! bałamycie nyśt!

— Siojn, siojn... ich lojf—woła Chaja Sura, biegnąc do drugiej izby...

Niech no pan Grzędzikowski sobie siada, odzywa się Mendel... takie osobe nie pasuje stoić... Siądzta sobie...

— To siadę—toć za jedne pieniądze.

— Ma się rozumieć, siedzenie to darmo... choć zdybuje się inszy paskudnik, co siedzi i siedzi całą noc, o suchej gębie, jak wrona na sokorze...

— Jak nie ma za co se kupić...

— No to co? kawalek kryde to nie jest wielgie mecyje.

— Dajcie no i przez krydy... Ja fundator, sołtysie.

— Nie, panie Onufry, dziś to ja...

— Ho! ho.

— Mnie się zdaje, wtrącił Mendel—co się urodzi cięłą, co będzie miało dwa głowe...

Chłopi wybuchnęli śmiechem, sołtys zmarszczył brwi.

— Niby dla czego? spytał.

— Ja wam co powiem panie sołtysie, ja już tu siedzę w tej karczmie ośm lat... ja już różne rzeczy widziałem... Ja widziałem jak się tamten stary kowal powiesił—ja widziałem jak u Maćka czerwona krowa nogę złomiła; ja widziałem jak u Wincentego zawałiła się studnia; ja widziałem jak na naszego pisarza przyjechała komissya — ale żeby wy sołtysie kupili komu półkwaterek wódki, to ja jeszcze nie widziałem!

— Żebyś ty zmarniał, niedowiarku!

Mendel splunął.

— Wiele pan sołtys.każe postawić? zapytał, pewnie półkwaterek?

— Każę więcej, rzekł ponuro chłop.

— Aj waj! pewnie będzie ball!.. ja już szykuję całe dwa półkwatki!

— Więcej...

— Kwartę?

— Więcej!

— Garniec?

— Trzy garnce!!

— Wiele, wiele wy powiedzieli, panie sołtysie... trzy?

— Trzy!..

— Weźcie wy sobie pomocajta pulsu... a wieta wy gdzie człowiek ma puls?..

— Ja ci pomacam łeb, ino wezmę cego twardego do garści—dawaj i tylo!

Żyd poskoczył do beczki i toczyć zaczął wódkę w garniec blaszany.

Onufry zażył tabaki i przystępując do sołtysa zapytał:

— Tedy na ten przykład, jako nawet i w piśmie jest, że była se winna winnica i robotniki przychodzili, jeden do dnia, drugi od podwieczorka, a zapłata każdemu była wsio wraz; tedy powiadam na ten przykład grzecznie, mój Józefie, mój sołtysie, według jakiego jenteresu te trzy garnce ma Mendel dać?

— Mądreś-ta wy... ale i mądremu czasem się uda rzec ni w pięć ni w dziewięć.

— Oho!

— A juści! Gdzie to macie pisane, żeby ja, biedno-wol-ski sołtys, gospodarz Józef Gwizdał, nie mógł postawić dla uczciwej kompanii trzy garce gorzołki?.. Taka moja wola i skutek... Wy kumowie, przyjaciele i chłopcy pijta, jako was proszę po grzeczności—a ty Mendlu, ruchaj się i tocz—bo takie twoje psie prawo!! Gospodarstwo se mom, urząd swój mom... pieniądze mom—a wola moja kupić, to kupuję!

— Ha, ozwał się Onufry... powiadają że wielgiemu panu i wielgiemu komuś wszystko wolno.

Sołtys odciął się.

— I to powiadają, rzekł, że, moczony jęzor lepszy, bo z suchego to jeno otręby się sypią.

— Mądre słowo, wtrącił Mendel, mądre słowo, na moje sumienie! Suche drzewo i suche siano, to dobrze, ale suchy gardziel to tyle znaczy co próżna butelka, a próżna butelka tyle znaczy co nic!

— Pijta gospodarze na zdrowie, rzekł sołtys, pijta Franciszku i wy Michale i wy Janie, pijta jeno — nie pytajta nic... Ja po prawdzie do fundów niewyrywny, ale jak się rozchodzę... to już idę.

— Wy, panie sołtysie, odezwał się Mendel, to tak jesteście jak na Zagrodziu młyn; bez cały rok to un stoi, bo jemu braknie wody, a jak na wiosnę przyjdzie woda, to un zmiele cztery garnce żyta..

— A wy zaś Mendlu, to jesteście podobne do chłopskiego buta co ma w czubie wiecheć.

— Krzynkę nie piękną gębę macie, panie sołtysie, na urzędnika to trochę niedelikatne słowo powiadacie.

— Na kuźde bydlę inaksze chomonto, a co komu powieździe to ja wiem.

— To czego sobie nie powiecie, żebyście nie byli takie pyskate?

— Cichajcie, cichajcie odezwał się Onufry—ja was tedy na ten przykład pogodzę.

— Pewnie, pewnie, rzekł z westchnieniem Michał, pan Onufry kuźdego pogodzi, kościelny człowiek je.. dołek na cmentarzu wykopie, łopatą krzynkę poklepie i już ci spokój...

— Tedy na ten przykład, dopóki trąba anielska, jak stoi w piśmie...

— Aj sprawiedliwie, sprawiedliwie...

— Fe! rzekł Mendel... u was, moje ludzie! wszystko jest sprawiedliwie. Kazał dać sołtys trzy garnce wódki—to jest sprawiedliwie. Onufry ma was klepać z łopatem, to też sprawiedliwie! Na co taka sprawiedliwość jest? na co on was ma klepać?

— A ciebie Mendlu, nie będą żydy maglowały? nie wsadzają cię pod słupek?

— Tfy! splunął Mendel, takie mowe to wcale nie pasuje na porządne ludzie. Co to jest maglowanie? Czy ja co mówiłem, czy żartowałem sobie z tego jak sołtysowa wymaglowała sołtysa, co jeszcze ma znaki na gębie? Ja się nie śmiałem, bo każdego może spotkać nieszczęście.

— No sołtysie, zawołał Onufry, wasze zdrowie... tedy na ten przykład...

— Daj wam Boże zdrowie!

— A wiecie wy ludzie, odezwał się sołtys, tak żeby go wszyscy słyszeli, wiecie wy że za dwa tygodnie będziemy nowego wójta obierali?

— Ohol.. albo to już nasz Sokół nie będzie?

— Odbył swoje trzy roki—ta i już.

— Ny, wielgie mecyje trzy roki, rzekł Mendel. Gdzie to stoi napisane, żeby un nie był na drugie trzy roki?... jak jego obiorą to un będzie. Co, czy on wam zły wójt, nasz wójt Sokół! Ha! ha! takiego wójta to szukać. On stworzony na to; on jak się urodził, to już miał pieczęć za cholewą. To cała osoba jest! Co wy na niego możecie powiedzieć sołtysie?

— Co mam powiadać?... albo ty Mendlu ksiądz, żeby ja się przed tobą spowiadał ze swojego myślenia?

— Ja dziękuję Panu Bogu za to co nie jestem ksiądz — i co nie potrzebuję słuchać waszego myślenia.

— Ha! ha!

— Ny, bo jakbyście mnie napchali w głowę waszych myśłów, to od takiego ciężkiego interesu mógłbym dostać, broń Boże, słabość w głowie.

— Proś ty Boga, Mendlu, żebym ja gorącki jeno nie dostał bo mogłaby cię zara łamana frybra spotkać!

— Aj panie sołtysie, panie sołtysie, wy bardzo kiepski znawca na polityczne rozmowe, nie lubicie uszanować człowieka.

— Albo ty komisarz, żeby ja ci miał uszanowanie oddawać?

— Aj, aj, ja też mogę się czasem przydać.

— Nie wiem na co? Chyba do zatkania komina.

— Niech i tak będzie—ale ja mam także swoje kombinacje,

— Wiadomo, żydowskie przebiegi...

— Ny, ny... czasem to wcale nie żydowskie. Wy naprzykład powiadacie, że Sokół nie ma być wójtem.

— Bo nie i będzie.

— A ja powiadam, że to jeszcze wcale niewiadomo...

— Sołtysie, odezwał się Onufry, sołtysie, bo wy się jeno użeracie z Mendlem — a my ciekawe onego wójtostwa. Tedy na ten przykład, powiadacie, że on nie będzie!

— Toć swoje lata odbył?

— Zdaje się człowiek on to niezły...

— Albo ja powiadam że zły... Panie Boże zachowaj... Nawet całkiem dobry... Pijak ci on jest — bo jest; pisarzowi buty czyści — bo czyści; durny z niego chłopisko bo durny—ale dlatego człowiek dobry.

— To niechby się i ostał na drugie trzy roki, rzekł jeden z gospodarzy.

— Ha, dla mnie niechby się ta i ostał, nie mam ja w gminie wielgich jenteresów — to czy mi wójt mądry, czy głupi — jedno; ale dla prostego narodu, dla biednych, a dla takich co na podatek nie mają, twardy sielma jak kamień. Pamiętacie ludzie, jak to Marcinowej poduszczynę zabrał — i za co? Za rubla! tak mi Boże dopomóż, za jednego rubla!

Juścić prawda.

— Aj prawda, święta prawda...

— A pamiętacie, jak z panem sprawa była o łąki — to po której stronie on stał?

— Po panowej stronie.

— A juści.

— Swiarczył tak, jak sam za sobą... wszystkich wypisał het, które jeno tylko paśli.

— To prawda.

— Wtenczas gospodarze biednowolskie zapłacili coś ze czterdzieści rubli różnych sztrafów; a wszystko bez niego.

— Co wy gadacie, że gospodarze zapłacili, kiedy pan tę karę wam darował. Co to za gadanie jest?!

— Pan darował, bo taka jego wola była, ale nam zawdy je krzywda.

— Jaka wam jeszcze krzywda? zawołał Mendel.

— Taka, że już tera na dworskiej łące nie będziemy pasali.

— To ma być temu wójt winien? Aj, aj, co wy gadacie sołtysie! a jakby wam się zachciało paść swoje bydło na niebie tam wysoko — a wy nie mogli jego wpędzić — to także będzie wójt winien?

— Ja powiadam, że dla mnie niech on sobie będzie wójtem choćby i sto lat. Ja swoje gospodarstwo mam, pieniądze zawdy mam, podatek płacę — to i co mnie tam wójt? Tak mnie to z nim, jako i przez niego, a choć mi postawita w kancelaryi

kołek z płota, zawiesicie na nim łańcuch i powiecie, że to je wójt,—to dla mnie wszystko wraz.

— Ny—to po co pan sołtys gada na Sokola? co on wam przeszkadza?..

— Mnie?!—nie—jeno się mówi według biednego narodu, nie mam racji kumie?

— Juści jest racya... po sprawiedliwości, zawdy on... psia noga... choćby na to mówiący i nasz Sokół... zawdy on... podatku, psia wełna... chciwy... i bez to my se, gospodarze stateczne, obieromy jenszego wójta! Taki wójt będzie, żeby żadnych opłatów nie ściągał—i karów żeby psia wełna nie dopisował—i żeby stójków dawać nie kazał—i do siarwarku żeby narodu nie wyganiał... taki ma wójt być! a skoro Sokół chcą dalej wójtem ostać, to niech się podpiszą, że od dziś żadnych opłatów nie ma, a jak Sokół nie zechcą podpisać, to niech wszystkich gospodarzy, wiele nas jest, pocałują w ramię—i niech se idą spać.

— A juści, dobrzeście kumie powiedzieli.

— Jo, zawdy psianoga, jak co powiem, to ci kadencya z tego cieknie, jak woda ze sita.

— Ny, ny i to prawda... Wyšta ogromne mądre Michale. Wszystkie chłopy tera bardzo mądre!.. nawet trudno zmiarkować gdzie się głupie podziewali? Ny, ale kiedyście tak zmądrzeli, to powiedzcie, gdzie sobie znajdziecie nowego wójta? Z jakiej wsi go sprowadzicie?

— Tedy na ten przykład, prawda! Kogo będziecie wybierali? Sołtys głos zabrał.

— Ja ta ochoty wielkiej niemam, ale skoro mnie już tak molestujecie, prosicie, nastajecie, to może bym się i namyslił.

— Prawda! tedy na ten przykład dobrze! Będzie nowy wójt, Józef Gwizdał!

— Będzie Katzenspeck mit Rojsenhonig, rzekł Mendel.

— Coś ty żydzie powiedział?

— Ja powiedziałem po żydowsku: „winszuję szczęścia nowemu panu wójtowi...”

— Daj no jeszcze ze dwa garce, ja płacę.

— Skoro pan sołtys teraz taki fundator jest, rzekł Mendel, co będzie jak zostanie wójtem?

— Będzie... wójtem, jak się należy... nie dla formy, jeno dla biednych ludzi, żeby takiego ścisku jak dziś nie znali.

— Oj to, to prawda...

— A ma się wiedzieć. Już ja mam w głowie swoje pomiarkowanie i karkulację... Ja się pisorza boić nie będę, ja mu butów czyścić nie myślę. Jak zechce się u nas w Biednej Woli ostać, to niech zna słuch przed wójtem—a jak chce panem w kancelaryi być i swoim głupim rozumem rząd prowadzić, to niech se idzie na grzyby, albo niech se poszuka jenszej gminy...

— Wy jesteście bardzo zawzięte, panie sołtysie, rzekł Mendel. Czy to nasz pan pisarz zły jest? Czy jemu co brakuje?

— Co mu ma brakować, odezwał się jeden z chłopów albo to mało od narodu bierze?

— Oj prawda, prawda święta!

— Jakie wy dziwne moje ludzie, rzekł Mendel, wy chcecie, żeby wszystko było do góry nogami! Chcecie mieć takie kunie co nie lubią owsa! gdzie takie rarytne kunie są? i pisarza chcielibyście takiego co nie weźmie rubla do ręki!—a gdzie taki pisarz jest?

Grzędzikowski głos zabrał.

— Tedy, na ten przykład, prawda! Mendel powiada słuszenie, kto na ten przykład kościołowi służy, ten z kościoła na ten przykład, żyje. Tedy nie może być taki pisarz, żeby nic nie brał.

— Niby to tak... odezwał się jeden z chłopów, jemu brać pasuje, to racya—ale nam płacić nie zawdy je miło... Skąd?

— Oj, skąd? skąd!

— Jak Bóg miłosierny da siaki taki urodzaj; to zydy zboża kupować nie chcą—a jak znowu zydy by rade kupić, to my nie mamy co sprzedawać...

— Słuchajta ludzie! krzyknął sołtys, uderzając pięścią w stół, jak ja jeno wójtem ostane, to wnet i z zydami porządek zrobię.

— Co wy zrobicie z zydami? spytał Mendel.

— Zrobimy taką uchwałę, że jak jeno który żyd będzie cyganił i nie da gospodarzowi za zboże tyła co się patrzy, to go zara wsadzim na dwadzieścia i cztery godzin do hareštu, a jak odsiedzi, tedy go na furę, odwieziem do granicy gminnej i wysypiemy do rowu—niech se idzie szachrować gdzieindziej, a w biednowolskiej zaś gminie musi być wszystko foremnie i sprawiedliwie, przez żadnego oszukaństwa i przez cygaństwa...

— Wy, panie sołtysie, rzekł Mendel, macie wielgie głowe wy ministerskie głowe maciel..

— Albo nie?

— To tylko szkoda jest, że wam wasza kobieta z miotłą i z łopatą już dużo rozumu z tej mądrej głowy wybiła..

Sołtys oburzył się.

— A tobie niedowiarku! poganinie jeden, co do mojej głowy?

— Ny, ja też w Biednej Woli mieszkam, mnie także mądry wójt potrzebny. Dla mnie to lepiej jest, jak wójt ma wielką głowę; dla mnie niech on ma taki wielgi łeb jak wół, to ja będę bardzo kontentny...

— Mnie się widzi żydzie, że ty ze mnie przekpiwasz?

— Tedy na ten przykład i mnie się tak widzi, podchwycił, dobrze już cięty, Onufry.

— To wam się źle widzi, moje ludzie. Nie dziwota... u mnie lampka nie wiele świeci... Co ja mam kpić, z sołtysa, z pana Józefa, takiego gospodarza, co wójtem ma być, co bogaty jest! Można z biednego pożartować, z kapcana — ale z take godne osobel z takiego obywatela—ktoby śmiał?

— A juści! Co mnie! ja urząd swój mom, gospodarstwo mom! pieniądze mom! i co mnie kto zrobi?

Mendel do bachura swego coś szepnął — i ten z karczmy wnet wybiegł.

— Tedy odczwał się Onufry, na ten przykład, Józefie, sołtysie kochany... niech ci Pan Bóg dopomaga... Byliby chłopcy głupie i ciemne jak tabaka w rogu, żeby was, na ten przykład, na wójta nie wybrali.

— Wybierzemy! wybierzemy! bądźta spokojne...

— Wszyscy będziemy krzyczeli, jak jeden: Gwizdał, Gwizdał!

— Jak sobie uważacie, moi bracia, rzekł z udaną skromnością sołtys, tak mnie z tym hunorem, jak i przez niego! A mnie co? ja gospodarstwo mam, pieniądze mam—jeno żeście mnie tak już przyparli, że molestujecie, prosicie, tedy.. przystają... Dla biednych ludzi przystają.

— Macie recht, przystańcie dla biednych ludzi—Dla nich to wielka dyferencya, czy wójt będzie Sokół, czy Wrona! — a jak im na podatek zabraknie, to wójt za nich ze swojej kieszeni zapłaci?

— Kto wie? Jak będzie jego wola, to zapłaci.

— Na taki sposób, odczwał się Mendel, to ja wcale nie chciałbym być wójtem...

— A juści! widział kto wójta w jarmułce!!

— Co wy myślicie—i króle bywali w jarmułkach.

— Chyba żydowskie króle!

— Tedy, na ten przykład, rzekł z wielką powagą Onufry, nie śmieją się; żydowskie króle byli, jako stoi w piśmie; na ten przykład, jak o królu Dawidzie, co wielkiego wielgoluda Goljata zadusił i potem mu jeszcze łeb urznął, na ten przykład.

— Juści to prawda, ale mnie się widzi, że taki król, jako król Dawid, ni pejsów, ni jarmuzków nie nosił; tylko se chodził we słufach, jak jaki jednorał, albo nacelnik z powiatu... Prawda Mendlu?..

— Nie widziałem... ale patrzcie no, kto to idzie?—aj waj! taki gośó, sam wójt! Sokół idzie...

Do karczmy wszedł chłop szpakowaty już, opasany szerokim rzemieniem, w granatowym kaszkiecie na głowie.

— Niech będzie pochwalony, rzekł.

— Na wieki...—witajcie panie wójcie, witajcie...

— Siadajcie tedy, na ten przykład, z nami...

— Skąd to pan wójt tak późno powraca?

— Ot jeździło się po gminie..

— Poduszki babom zabierać, mruknął sołtys.

— Ha! jak wypadło zabrać, to się i zabrało...

— A juści, oj dola, nasza dola!..

— Panie Sokole, panie wójcie, rzekł Mendel, tu dziś wielgi ruch. Sołtys parę garney dla kompanji kazał postawić...

— Wola jego...

— On dziś bardzo wielgi fundator jest, nasz sołtys!

— Toć mu nie brak... może ..

— A wam, to pewnie co brakuje?—mruknął sołtys.

— Bogu dzięki, nie brakuje mi nic... a jak zechcę komu postawić gorzałki, to też potrafię.

— Tedy, na ten przykład, wiadomo, rzekł sentencyonalnie Onufry, wiadomo, że człowiek kuzdy, ma na ten przykład rozum, i wolną wolę, do czego by sobie upodobał... Józef, na

ten przykład, sołtys nasz, miał dziś rozum i wolną wolę i oto parę garncy postawił..

— To i ja wam, moje chłopcy, postawię.

— Ha wiadoma rzecz, jak wybór ma być, to kuzdy wójt do fundy skory, zauważył sołtys.

— Wójt, jak wójt,—ale jenszy, co nawet wcale na wójta niepodobny, to też je przed wyborem okropnie wyrwiny do fundów.

— Oj, moje kochane ludzie, po co sobie przymawiać, czy przed wyborem, czy po wyborze, aby było co postawić, to trzeba stawiać i trzeba pić. To jest gospodarski interes.

— Czegóż wy Józefie na mnie krzywi? — zapytał Sokół sołtysa.

— A co ja mam krzywy dla was być? ni wy mnie zły, ni dobry, co mnie tam! Ja gospodarstwo mam, pieniądze mam, jestem se gospodarz obsiedziały. Co mnie do was?

— Kiej tak, to wypijcie ze mną!

— Mam dość...

— Józefie... cóżeście się tak zawzieni?

— Mam dość i tyło—niczyjego poczęstunku ja nie żądny.

— Ja wam co powiem, panie wójcie, rzekł Mendel, Józef bez to markotny jest, że sam wójtem chce być na wasze miejsce.

— Ja nie chcę, jeno że mnie ludzie gwałtem ciągną.

— Ha, cóż, odezwał się wójt, jak was ciągną, to bądźcie wójtem, pękosztujcie i wy tego smaku... A, któż to was ciągnie, mój Józefie?

— Dyć ludzie!

— Jakie ludzie?

— O! zara jakiel—wiadomo jakie ludzie, z rękami, nogami, z głowami!

— Z głowami to ja nie dużo widziałem, odezwał się Mendel półgłosem.

Wójt głową parę razy kiwnął—i rzekł:

— Owszem, życzę wam mój Józefie — niech was wybiorą, użyjecie sobie przynajmniej...

— Niby jak?

— No, to już obaczycie sami—ja wam powiadać nie będę, jeno tobym radził, żebyście się dobrze rozmyślili, bo to je rzecz nie letka.

— Jak dla kogo, kto ma głowinę kiepską, temu wszystko ciężkie i trudne.

— A wy Józefie, wtrącił Mendel, wy macie głowę!—ja wam już sam powiedziałem, co wasza głowa, to jest wielga jak beczka.

— Jeno, że w niej klepki musi brakuje, odezwał się jakiś parobczak z kąta.

— Stul ty gębę, bo...

— Bo co?—zawołał hardo.

— Bo ja cię wsadzę tam, gdzieś jeszcze nie był...

— Oho, niedocekание wasze! jeszczeście nie wójt—a już ludzi chcecie wsadzać? Niedocekание wasze, tak wy będziecie wójtem jak ja księdzem!

— Otóż będę!

— Na jury—jak rak świśnie!

— A, ty pędraku jeden! krzyknął sołtys, zrywając się z pięściami do parobka, ty bronowłoko dworski!—a do stajni spać! Co ty doszczekujesz, psia duszo! powiedziałem, że wójtem będę, to będę!...

Zamachnął się—ale młody i zwinny parobek ciosu uniknął i sam sołtysowi nogę podstawił, tak, że ten runął na ziemię jak długi.

Jednocześnie sołtysowa wpadła do karczmy i małżonka swego pięściami okładać zaczęła.

— A ty włóczynogol! zatracącze, pijaku! ty wójtem bę-

dziesz!—tobie pasuje wójtem być, musi bez to, że się po karczmach włóczysz. Masz! masz, masz! wójtowstwo, włóczynogo ty jeden!

— Jaguś! — jęczał sołtys — Jaguś, jagodo, nie będę już wójtem!..

— Kobieto, tedy na ten przykład, odezwał się Grzędzikowski, kobietol—a nie przysięgałaś mężowi, a nie mówiłaś-to „miłość, wiarę i posłuszeństwo“?..

— Aj, cichajcie, cichajcie panie Grzędzikowski, wtrącił Mendel, nie przeszkadzajcie sołtysowej... kiedy una teraz cały wójt!.. Patrzcie, jak una swemu chłopu pieczęcie do pleców przykładal

— Jaguś.. Jaguś, jagodo, jęczał sołtys, puść, pójdę do dom, sprawiedliwie pójdę.

— To idź, ruchaj się; czy chcesz, żebym cię jak beczkę bez ulicę toczyła?

— Idę, idę, tak mi panie Boże dopomóż. Sprawiedliwie już idę!

To powiedziawszy sołtys podniósł się z trudnością—i skonfundowany, nie patrząc na nikogo, karcznię opuścił—żona podtrzymywała jego chwiejące się kroki, nie szczędząc mu nauk moralnych i szturchańców.

Chłopi w karczmie śmieli się na cały głos z przygody sołtysa, a Mendel pogładziwszy brodę, rzekł:

— Ny, ny, to chwacka kobietka jest, na moje sumienie! Byłoby najlepiej, żebyście wy ją wybrali sobie na wójta.

III.

Pani pisarzowa była blondynka o kształtach pełnych i dobrze zaokrąglonych. Lubiła się ubierać w powłoczyste bluzy i paliła ciągle papierosy własnego wyrobu. Wspominała też



... i skonfundowany, nie patrząc na nikogo, karczmę opuścił.

często o swoim wysokim rodzie, gdyż ojciec jej był swego czasu burmistrzem, a matka córką podleśnego z rządowych lasów. Rzucona w świat, do którego nigdy w życiu przyzwyczajona nie była, na każdym kroku okazywała bliźnim swą wyższość— a każdy frazes zaczynała od słów: „gdyby mój mąż nie był gamajdą“...

Mieszkanie, które państwo pisarzowie zajmowali w domu gminnym, ciasne, złożone z dwóch pokoiów zaledwie, było przyozdobione rozmaitemi serwetkami, kokardkami, kolorowym papierem, masą porcelanowych lalek i tym podobnych osobliwości.

Znać było, że mieszka w niem osoba ze sfer wyższych, rzucona przez los zawistny w niewłaściwe otoczenie, osoba, która mogłaby stanąć bardzo wysoko, gdyby naturalnie, mąż jej „nie był gamajdą“.

Pani pisarzowa miała ulubiony swój „szenszlong“ i na tym meblu przepędzała większą część swego życia, w pozycji półleżącej przy gościach, leżącej gdy nikogo nie było. Trzymając w ustach papierosa, oczy miała utkwione w sufit, i już to liczyła muchy wędrujące po belkach, już tęsknym i zamglonym wzrokiem czyniła niebu wyrzuty, za to, że została rzucona w sferę, do której nigdy przywyknąć nie mogła.

Osoba pulchnej tuszy i wzniesłego umysłu dostała się między ludzi prostych, nieokrzęsanych, po prostu między chamów, którzy wyższych jej zalet ani poznać, ani ocenić nie umieli. Przykrzyło jej się fatalnie. Czasem z nudów zajrzała do kuchni, zagroziła służącej, że do kryminału ją wsadzi—i znów powracała na swój „szenszlong“—na którym przecierpiała i przeleżała już tyle...

Gdyby jej mąż nie był gamajdą—lecz trudno—jak się komu nie wiedzie, to już na każdym kroku!...

Kobzikowski, w chwili gdy mu oddawała białą swoją

rączkę, był w biurze powiatowem kancelistą... Miał charakter wprawny, czytelny, ozdobny nawet, przytem pisał z,tak wściekłemi zawijasami i wykrętasami, że mu powszechnie świetną przyszłość wrózano... ale wróżby ludzkie nie zawsze się sprawdzają. Od chwili wstąpienia w związki małżeńskie, kanceliście przestało się powodzić; do powiatu nastał nowy naczelnik, który zawijasów nie znosił—i biedny Kobzikowski ujrzał się w smutnej konieczności szukania nowej posady. Dopomogła mu w tem żona, która dotąd chodziła i prosiła różnych dygnitarzy, aż wreszcie wyjednała mu bardzo mizerną posadę na poczcie.

Kobzikowski chleba z tej posady wiele nie miał, ale za to był na etacie i nosił czapkę z gwiazdką i byłby ją nosił po dzień dzisiejszy, gdyby nie wypadek... Zginął jakiś głupi list z pieniędzmi, czy też marek w kasie pocztowej zabrakło... jednym słowem bagatelka się stała—i skutkiem tego mąż pani Domiceli znowuż czapkę postradał i znowuż przez kilka miesięcy znajdował się na bruku.

Podobne historie powtarzały się co pewien czas, peryodycznie.

W takich razach Kobzikowski przed małżonką swoją klękał i przysięgał na wszystkie świętości, że go oczerniono niegodnie, że jest niewinny i że na przyszłość pilnować się będzie pedantycznie.

Pani Domicela przysięg słuchała, zmywała małżonkowi głowę, wymawiała mu że jest „gamajdą“, że sam nigdyby rady sobie nie dał na świecie—i wyrabiała nową posadę.

Z powodu owych posad, krążyły o pani Kobzikowskiej różne wieści, których wszelako, jako niedowiedzionych i niesprawdzonych dokładnie, powtarzać nie wypada.

Po kilku latach wędrówek z posady na posadę, przybył Kobzikowski do Biednej-woli, w charakterze pisarza gminnego—i na tem stanowisku trzymał się od dość długiego czasu.

Nadużyć wielkich nie popełniał, kancelaryę prowadził względnie porządnie—a że łapówki brał skąd się tylko brać dało,—nikt mu za złe nie miał—od czegoż człowiek ma ręce?

W Biednej-woli Kobzikowscy osiedli nareszcie na dłużej, a że i kamień na miejscu porasta, przeto przyszli nawet do jakiej takiej zamożności. Były dwie krowki w oborze i tłusty konik w stajni, bo Kobzikowski stójkę utrzymywał, a owsa nie potrzebował kupować—było to i owo—i w spiżarni zapas niezgorszy, a nawet, jak powiadano, pani Domicela przechowywała starannie kilka listów zastawnych, na czarną godzinę.

Z cienkiego i wyschłego jak wiór kancelisty, Kobzikowski zmienił się na krzepkiego męża, o barkach szerokich i rozrosłych; z pod czarnej hiszpanki widać było trzy podbródki szerokie i pełne, które dodawały mu powagi i wdzięku.

Pani Domicela straciła również dawne idealne i eteryczne formy, z których słynęła w okolicy będąc ongi panną—pomimo to jednak była jeszcze pełna wdzięków, a nauczyciel z Biednej-woli, oraz Boberkiewicz, kancelista z kasy powiatowej, pisywali na jej cześć niezwykle rzewne ody i sonety.

Nauczyciel bywał niekiedy u Kobzikowskich na herbacie, ale oczu na panią domu podnieść nie śmiał — dzieliła ich bowiem cała przepaść.

On, dziecko ludu, chłop poprostu, zwyczajny chłop w surducie—ona zaś Lewarkowska de domo, córka burmistrza! I żeby ten nauczyciel, skądinąd nawet przyzwoity młodzieniec, nazywał się przynajmniej po ludzku, żeby choć imię miał znośne, ale ani jedno ani drugie!

Nazywał się Filip Kaczor!! Coś zabijającego! jak mówiła nieraz pani Domicela.

Jako osoba niezmiernie ocytana i rozumiejąca nawet kilkanaście wyrazów francuzkich, pani pisarzowa słyszała coś



o przygodach Ledy i łabędzia... No—ale łabędź to przynajmniej ptak śnieżnopióry, wspaniała... a tu kaczor! Nie... przenigdy!

Biedny nauczyciel wzdychał skrycie i bóle swego serca na papier przelewał—grywał też wieczorami na fleciku i znosił złośliwe przymówki pani sekretarzowej sądu, osoby brzydkiej jak noc i niemogącej znieść ani Kobzikowskiej, ani jej sukien modnych, ani kapeluszy... bezczelnych, jak mówiła.

Boberkiewicz większe miał szczęście.

Przyjeżdżał do Biednej-woli dość często, ściśle mówiąc, spędzał w niej wszystkie niedziele, święta i dni galowe. Do tych częstych wizyt upoważniało go poniekąd jakieś kuzynostwo, dalekie wprawdzie, ale kuzynostwo, gdyż przed laty, jedna Boberkiewiczówna była wyszła zamąż za Lewarkowskiego i mieszkła w Galicyi... Pan pisarz nie znał wcale tych kuzynów, nie słyszał o nich nawet, ale że Domicelka mówiła że tak jest, więc wierzył, dawał Boberkiewiczowi buzi z dubeltówki i nazywał go najukochańszym kuzynkiem.

Pani Domicela nie jednakowo tytułowała swego gościa. Czasem mówiła mu przez trzecią osobę „niech Dyzio“, czasem „Panie Dyziu“, a niekiedy „urwisie“, co już oznaczało najwyższy stopień łaski.

Dyzio był to młodzieniec szykowny i pełen powiatowej dystynkcyi. Nosił przerażająco wysokie kołnierzyki, niebieskie krawaty, fantazyjne kamizelki i binokle w tombakowej oprawie. Dodajmy do tego, że zawsze chodził w rękawiczkach i stale używał topolowej pomady, a będziemy mieli kompletny obraz szykowności młodzieńca, na którego rumianej i puciołowatej twarzy piękne oczy pani Domiceli zatrzymywały się zawsze z przyjemnością.

Jest dzień niedzielny, godzina czwarta po południu. W tak zwanym salonie państwa Kobzikowskich, rolety spuszczone stawiają bierny opór gorącym promieniom słońca, a w niebieska-

wem półcieniu muchy leniwe, pół senne, snują się po ścianach i po stole.

Pani Domicela niby siedzi, niby leży na „szenszlongu“ i pali papierosa. Dyzio na fotelu obok oddaje się tej samej czynności.

— Czy nie może mi kochana kuzynka powiedzieć, dokąd Leonard pojechał?

— Mój mąż? ach! żeby Dyzio wiedział jaki to gamajda! przechodzi wszelkie wyobrażenia... ledwie go wypchnęła żeby się ruszył przecie.

— Ale dokąd pojechał?

— Dyzio nic nie wie? a przecież niedługo wybory...

— Cóż was to może obchodzić? Czy ten chłop wójtem będzie, czy inny, to dla Leonarda, dla was, wszystko jedno. Leonard zawsze się utrzyma, nawet powiem kuzynce, że jest dobrze widziany w powiecie, wiem to od samego sekretarza.

— Czy Dyzio myśli że to jego zasługa?

— A czyja?

— Moja, moja tylko! Dyzio nie wie ile ja mam tutaj roboty. Wprawdzie nie piszę sama w kancelaryi, ale muszę wszystkiego pilnować. Żeby nie ja, toby ten gamajda ani jednego raportu w swoim czasie nie wysłał.. Dopiero jak przypomnę, nagadam, nakrzyczę, wtenczas sprowadza sobie do pomocy Kaczora i piszą całą noc, żeby było na termin... A może Dyzio myśli, że Kaczor chciałby pisać, za takie psie pieniądze jak bierze, żeby nie ja?

— O wiem, wiem że kuzynka ma w oczach magnes...

— No, no—bardzo proszę...

— Taki magnes, co przyciąga i odpycha... Nielitościwy magnes!

— Dyzio zawsze swoje...

— Gdybyż mojej zawołał Boberkiewicz, ujmując pulchną rączkę pani Domiceli.

— Niechżeż Dyzio da spokój.

Dyzio nie dał spokoju i wycisnął na rączce kuzynki głośny pocałunek.

— Ach ty urwisie! rzekła uderzając go po ręku... Zawsze niepoprawny jesteś.

— Czemu myśmy się dawniej nie znali, kuzynko!

— Dajże pokój! wróćmy do Leonarda... Gdyby nie był gamajdą, czy siedzielibyśmy w tym zakazanym kącie? czy ja potrzebowałabym marnować się tutaj i zabijać... Sam widzisz, że ja usycham z nudów.

— No, tego nie powiem, żeby kuzynka usychała.

— Dyziu! rozgniewam się!...

— Przepraszam, całuję rączki sto razy.

— Lepiej żeby Dyzio nie obrażał i nie przepraszał.

— Ach! dla samego przepraszania warto.

— Niechże się Dyzio ustatkuje, proszę... Wracamy do Leonarda...

— Wracamy zawsze do niego, niestety! Ciągłe tylko ten Leonard i Leonard.

— Nie żartuj, mówmy na seryo, posłuchaj. Ja mam także swoje plany i liczę że mi Dyzio pomoże.

— Co rozkażesz, kuzynko?

— Mówiłam ci już, że gdyby Leonard nie był gamajdą, to stalibyśmy dziś doskonale, ale pomimo najszczerszej chęci i starań, widzę że w urzędowaniu karyera jego skończona; może zestarzeć się na tem pisarstwie i umrzeć, a ja tego nie chcę. Rozumie Dyzio, że pragnę zabezpieczyć sobie kawełek chleba na starość, a przy tym moim gamajdzie, na siebie tylko liczyć mogę. Czyż nie tak? niechno Dyzio sam osądzi.

— Istotnie kuzynka jest równie mądra jak piękna—i dalibóg warta lepszego losu. Co za szkoda, że myśmy się dawniej nie znali.

— Może i szkoda, ale się to nie wróci, dziś trzeba myśleć

o jutrze... trzeba myśleć nie na żarty. Czy Dyzio da wiarę, że wczoraj, czesząc się, zauważyłam dwa siwe włosy!

— Ale skąd?!

— Tak, tak jest, widzi Dyzio. Koniec końcem zaczęłam myśleć o sobie i postarałam się o to, że stary Melcer, młynarz, sprzedał niby to Leonardowi sześć morgów gruntu za kontraktem rejentalnym, a my daliśmy znów Melcerowi taki sekretny kwit, że ta sprzedaż nic nie znaczy. Czy Dyzio rozumie na co ja to zrobiłam?

— Rozumiem, rozumiem, kuzynka chciałaby wójtową zostać. Szczęśliwa gmina, jak Boga kocham, szczęśliwa!

— Dyzio nie widzi daleko... Cóż mi tam z tego głupiego wójtostwa, lada chłopka to samo może mieć.

— Aha! kuzynka jak uważam, na sędzinę kroi.

— Spodziewam się, ale wybory do sądu jeszcze daleko, a tymczasem dobrze by było...

— Wójtostwo...

— Zawsze lepsze to niż pisarstwo i jakby się Leonard dostał na wójta, to łatwiej byłoby później torować mu drogę do sędziostwa.

— Kuzynka mówi jak dyplomata.

— Gdyby Leonard nie był gamajdą, stalibyśmy dziś zupełnie inaczej, ale cóż? Ja za niego muszę robić i myśleć—wszystko ja! gdyby nie mój rozum, nie moja zabiegliwość, nie moje staranie, to doprawdy nie wiem, czy mielibyśmy dziś kawałek chleba. Czy Dyzio myśli, że Leonard pojechał by teraz kaptować sobie chłopów, żeby nie ja! W głowie by mu to niepostało. Dobry obiad zjeść, przespać się, a potem w preferansa zagrać—to dla niego łatwa rzecz. O! niech mi Dyzio wierzy, że do tego jedyny.

— Wiem, wiem; tak w preferansa grać jak Leonard! phi! phi!

— To też to! ale niech Dyzio powie do czego więcej on zdalny?

— Alboż ja wiem?

— Trzeba za niego myśleć, zabiegać i starać się—ja już swoje zrobiłam i istotnie zrobiłam co tylko było można... Trzech żydów chodzi po wsiach i agituje, złote góry chłopom obiecując; ja sama gdzie tylko mogę, to zręcznie słówko wtrącę—ale mam nadzieję, że Dyzio zechce mi także dopomódz.—Przecież tego Dyzio nie odmówi biednej kuzynce?

Boberkiewicz znowuż się do pulchnej rączki przyczepił jak rak.

— Wszystko, wszystko zrobię co kuzynka każe, choćby na koniec świata polecę!

— Ach! tak daleko nie trzeba—dość będzie między znajomymi... w powiecie... Dyzio rozumie przecież o co chodzi.

— Rozumiem—na sekretarza może kuzynka liczyć na *pe*, a panu pomocnikowi także słówko szepnę. Mam u niego, nie chwając się, wielkie łaski... ogromnie proteguje mnie.

— Wiem, wiem, i to nie tyle pomocnik, ile pomocnikowa—ale co tu się dziwić? Dyzio jest elegancki chłopiec, Dyzio słicznie tańczy, Dyzio grywa na skrzypcach, Dyzio urządza majówki—bez Dyzia cały powiat usnąłby po prostu.

— Krzywią się na mnie, że wyjeżdżam za często.

— I tego mi zazdroszczą! Biednej, zapoznanej kobiecie, nie wolno jest nawet żywić uczuć familijnych!

— Któżby na takie rzeczy zważał! Niech kuzynka będzie spokojna. W przyszłym tygodniu wyprawiamy majówkę z tańcami, przysięgam ci kuzynko na wszystkie świętości, że w każdym kontredansie, w polkach, w walcach, mazurach, będę mówił o Leonardzie, zbuntuję wszystkie panie powiatowe—no—i pies jestem, jeżeli kuzynki wójtową nie zrobię.

— Jaki Dyzio dobry—rzekła patrząc mu prosto w oczy.

— To już skończona rzecz. Ja i do gubernji trafię, przecież Kokosiński, taki mój serdeczny przyjaciel, jest tam dziennikarzem. Nie mówmy już o tem, to skończone. Może lepiej pójdziemy nad staw, czólnem kuzynkę powożę.

— Dobrze, ale...

— Ale co?

— Możeby posłać po Kaczora, bo ta gadzina, sekretarzowa, będzie znowuż po całej parafji latała z językiem.

— Ach! czemu myśmy się dawniej nie znali, kuzynko?

— Czemu? czemu? powtarzała w zamyszeniu pani Kobziowska; mój Dyziu, ktoby to potrafił odpowiedzieć na wszystkie „czemu“ i dla czego...

— Chodźmy nad staw. W olszynie chłodno a tu gorąco szkaradne. Pochodzimy trochę, a potem popłyniemy czólnem! kuzynka wie jak ja doskonale wiosłuję.

— Wiem, wiem!—Dyzio ma do wszystkiego zdatność—ale Kaczora trzeba poprosić koniecznie. Ta gadzina sekretarzowa zaraz nas obgada.

Boberkiewicz podniósł roletę i w okno spojrzął.

— Jest i Kaczor! zawołał, nadchodzi właśnie.

Pedagog po chwili wszedł do pokoiku.

Był to młodzieniec wysoki, chudy, twarz miał mizerną, prawie bez zarostu, a długie, jasne włosy spadały mu na ramiona.

Wszedłszy, uklonił się niezgrabnie, a cała jego postać zdradzała niezwykle zakłopotanie.

— Dzień dobry, panie profesorze, rzekła uprzejmie pani domu. Chciałam tylko co posłać po pana. Pan Dyzio proponuje spacer nad staw, myślałam żeby i pan z nami poszedł.

— To jest... właściwie, nie wiem, jakby się wyrazić...

— Nie masz pan czasu zapewne, zawołał uśmiechnięty Boberkiewicz, założyłbym się, że profesor nie ma czasu.

— To jest, właściwie nie wiem jakby to powiedzieć, rzekł pedagog, właściwie... czas mam!...

— Więc o cóż idzie? Chodźmy.

— Widzi pani dobrodziejka, właściwie...

— Nie nudź-że pan, chodźmy.

— Jeżeli pani życzy sobie, to jest właściwie, jeżeli pani każe..

— Ale proszę, sto razy proszę.

Pani Kobzikowska włożyła na głowę olbrzymi kapelusz słomkowy z jaskrawą wstęgą i całe towarzystwo udało się dróżką polną do olszyny.

Przyjemna rozmowa urozmaicała ten spacer. Boberkiewicz opowiedział najświeższe ploteczki powiatowego miasta. Kaczor, jak na prawdziwego pedagoga przystało, szedł poważnie, powoli, rzucając od czasu do czasu słówko jakieś, obmyślane głęboko i wypowiedziane zawsze w sposób warunkowy.

Pani pisarzowa nie wiele zważała tym razem na Boberkiewicza i zarzucała pytaniami pedagoga.

— Pewnie profesor był dzisiaj u tej gadziny?

— To jest... co pani chce przez to rozumieć?

— No, pytam się przecież wyraźnie, czyś pan był u tej piękności z kaczkowatym nosem?

— Jeżeli pod tą alegoryą mam rozumieć panią sekretarzową, to byłem—a właściwie mówiąc, obiad spożywałem u nich.

— Cóż ona o mnie mówiła? Powiedz pan śmiało, bez żadnej ceremonji, ja się nie obrażę. O to możesz pan być spokojny, tego rodzaju istoty nie mogą mnie obrażać.

— A jednak, jeżeli, mnie słuch nie myli, zapytywała pani.

— Więc cóż z tego? Pytałam z ciekawości, tak sobie. Czasem lubię się pośmiać. No, powiedz pan raz. Zrobisz mi tem przyjemność.

— Hm... trudno to jest..

— Zapewniam profesora, że pasyami lubię syk żmii; jest to, bądź co bądź, przyjemność.

— No, mówże pan raz, odezwał się Boberkiewicz, co się ceremonjować, kiedy kuzynka to lubi.

— Właściwie, nie zaprzeczam, że mowa o pani była; ale jeżeli mam prawdę powiedzieć, to z mego punktu widzenia, nie mógłbym się dopatrzeć w słowach pani sekretarzowej jakiejś złośliwej chęci, lub, ściślej powiedziawszy, zamiaru...

— Bravo! jak to jednak dobrze mieć swego wiernego rycerza! Twierdzisz zatem panie profesorze, że byłam obsypana pochwałami?

— Pochwała bywa względna... zależy to od poglądów.

— Więc przyznajesz pan, że sekretarzowa mnie uwielbia.

— Tego również nie dostrzegłem.

— Zatem, powiedz pan po prostu, że wiesz na mnie psy.

— Ależ... pani dobrodziejko, co znowu!

— Mój panie, znam ja się na tem. A o wyborach nie było mowy?

— Wspominano coś ogólnikowo.

— Jakżeż się zdaje pani sekretarzowej? czy sądzi ona, że Leonard zostanie wybrany na wójta?

— To jest właściwie... o ile mogłem wyrozumieć zdanie pani sekretarzowej, to sympatye jej skłaniają się raczej ku dotychczasowemu wójtowi.

— Gadzina!

— Eh! droga kuzynko, rzekł Boberkiewicz, ostatecznie cóż cię to ma tak dalece obchodzić, po której stronie są sympatye, lub antypatye jakiejś tam pani sekretarzowej sądu!

— Istotnie, Dyzio ma słuszość, jak zawsze. Bardzo mnie to obchodzi co sobie jakaś tam gęś o moim mężu pomysli! Dyzio ma zupełną słuszość.

Tak rozmawiając, przyszli nad staw.

Słońce zachodziło, złocąc gładkie zwierciadło stawu na którym kołysała się łódka. Kaczor wziął jedno wiosło, Boberkiewicz drugie, pani pisarzowa zaś usiadła w środku łodzi, na ławeczce i popłynęli przez staw, a następnie przez rzeczkę do osady młynarza Melcera.

Gdy wracali tą samą drogą, księżyc już świecił. Melancholiczny pedagog pracował wiosłem, wzdychając, Boberkiewicz siedział na ławeczce obok kuzynki i mówił do niej półgłosem:

— Czemu myśmy się dawniej nie znali?

Pani Kobzikowska odpowiadała ciężkiem westchnieniem.

IV.

Od bardzo wczesnego ranka, na wszystkich drogach wiodących do Biednej-woli, był ruch znaczny. Jedni jechali wozami, inni konno, wielu zaś podążało pieszo na wielki akt wyborczy. Przemknęła też jedna i druga bryczka szlachecka, wymijając wózki i obsypując pieszych tumanem kurzawy, podnoszącej się z pod kopyt rączych koni.

Mendel stał przed karczmą. Ubrany był uroczysto i poważnie, w nowym kamlotowym żupanie, przepasany pasem wełnianym, na głowie miał nową czapkę aksamitną, w ręku zaś czerwoną chustkę w kraty.

I Chaja Sura wyglądała świątecznie i bachury były trochę umyte.

Taki zjazd! należało wystąpić.

Spodziewani byli w Biednej-woli i wielcy dygnitarze z powiatu i kilku obywateli z okolicy, a cóż dopiero mówić o tym tłumie włościan, który napływał a napływał jak fala.

Mendel Kwiat, spodziewając się dziś pięknego zysku, gładził brodę i zastanawiał się nad istotą samorządu gminnego. W rzeczy samej, ta instytucja nigdy może jeszcze nie wydała się Mendlowi tak potrzebną i pożyteczną jak dzisiaj, a je-



— Czemu myśmy się dawniej nie znali!

żeli mógł jej co zarzucić, to tylko chyba to, że wybory na wójta odbywają się co trzy lata.

Dla czego co trzy? To jest za długi termin; i wójt sfatyguje się zanadto i w gminie nie ma ruchu. Żeby tak co kwartał chociaż! toby istotnie był interes.

Tego dnia placyk przed kancelaryą gminną doprowadzony był do porządku. Oczyszczono go ze śmieci i wygrabiono bardzo przyzwoicie. Nie potrzebujemy dodawać, że stało się to za sprawą pani Kobzikowskiej, która mając męża „gamajdę“, sama dbać musiała o porządek zewnętrzny i wewnętrzny urzędu. Jej też zawdzięczyć należy, że kancelarya była świeżutko wybielona, kurze ze stołów pościerane, a podłoga usypana piaskiem i drobno pociętymi liśćmi tataraku.

Przyjazd pana naczelnika i wybory zapowiedziane były na godzinę dwunastą w południe, ale naród wiejski, który przyzwyczajony jest wszystkie czynności rozpoczynać od rana, zgromadził się dość wcześnie.

Korzystali też z tego kandydaci i pragnęli ostatnie, decydujące niemal chwile, na rzecz swoją wyzyskać. Karczma była jak nabita, a kto się w jej ścianach pomieścić nie mógł, lokował się jak można było pod oknami i drzwiami, na przyzbie, przy wozach.

Wśród obywateli - posesyonatów mających prawo głosu, uwijali się ludzie bezrolni i procederzyści. Jednych sprowadziła ciekawość, drugich chęć agitowania na rzecz kuma lub przyjaciela. Wśród tej, mówiąc technicznie galeryi, można było dostrzedz poważnego zawsze Grzędzikowskiego, ciętego już dobrze kowala, ekonoma z folwarku, — a ze sfer wyższych, sekretarza sądu, oraz pedagoga, który z powagą wielką przechadzał się od grupy do grupy i starał się badać opinię.

Okolo godziny dziesiątej, gdy znaczna część fluidów, przez Mendla na uroczystość wyborczą sprowadzonych, była wyczer-

pana, a Chaja Sura czuła już pewne zmęczenie, zaczęły się rysować nieco wyraźniej partye i stronnictwa.

Najsilniejszą była partya konserwatystów, żądających utrzymania na stanowisku dotychczasowego wójta, Sokoła. Wśród tej grupy perorował kowal Pikuła, w skórzanym fartuchu, z twarzą osmoloną sadzami. Słuchano go pilnie, jako męża mającego dużą popularność i znaczenie. Pikuła znany był w okolicy z tego, że znakomicie kuł wozy i doskonale rwał zęby, świetnie puszczał krew koniom i bydłu, oraz niezwykle zręcznie zdejmował paskudnika z oka cierpiącego bydłęcia. Taki człowiek ma zawsze na wsi mir i poszanowanie.

Partya konserwatystów wzrastała, coraz to przyrzmknął do niej ktoś z innej grupy, pociągnięty urokiem wymowy dzielnego Pikuły, który perorował zawzięcie i z taką gestykulacją, jak gdyby pragnął żylastemi pięściami swemi miażdżyć głowy słuchaczy.

Stronnictwo liberalne, zdecydowane głosować za sołtysem Gwizdałem, gorąco pragnęło reform, mających polegać na tem głównie, żeby wszelkie opłaty obciążające morgę albo zupełnie znieść, albo zredukować do możliwego minimum—i tak zredukowane nie płacić gotówką, o którą dziś ludziom trudno, lecz odsiadywać w kozie.

Prócz dwóch grup wymienionych powyżej, istniała jeszcze partya apatycznych, dla których sprawa wyborów była absolutnie obojętną. Kazano im przyjść, więc przyszli—każą odejść, pójdą. Ci już to pokładli się na wozach i spali, już to rozwiązawszy kobiałki, posiadali w chłodzie i jedli chleb powoli, patrząc przed siebie bezmyślnie i ruszając szczękami jak woły.

Dwaj kuzyni Mendla nie próżnowali. Coraz to chwyтали kogo to z tej to z owej grupy, odprowadzali na bok i szeptali mu coś do ucha, z gestykalucją żywą, namiętną, z przekrzywianiem głowy, spluwaniem, tupaniem nogami.

Partya pani Kobzikowskiej, najmniej silna liczebnie, zebrała się na podwórku kancelaryi. Ci panowie, mający podczas wyborów zrobić niespodzianą dywersyę, siedzieli na wywróconem korycie i raczyli się poczęstunkiem, jaki im gościnną pani Kobzikowska wyprawiła.

— Moi dobrzy ludzie, mówiła ona do nich, stojąc na progu kuchni, jeżeli mam prawdę powiedzieć, to sama nie wiem co takiemu Sokołowi, albo naprzykład i innemu gospodarzowi, po urzędzie? Do pióra ciężki, kancelaryi prowadzić nie potrafi, pisarza musi trzymać.

— Dyc prawda.

— Kłopoty, jeżdżenie do powiatu... pilnować się trzeba.

— A juści.

— To też wybierajcie mego męża. Gamajda on jest, bo gamajda, ale człowiek dobry, krzywdy wam nie robi. Czekaćcie no, dobrzy ludzie, przyniosę wam jeszcze trochę wódki.

Chłopi spojrzeli po sobie.

— Piękne masło pisarka ma, rzekł jeden, gdy pani Kobzikowska odeszła.

— Piękne—bo moje, odpowiedział drugi.

— Wasze?

— A jeno co? moje—bo właśnie wczorajszego dnia brałem praśport dla chłopaka.

— Niby to można masło poznać.

— Można widzita, bo moja kobieta zawdy różne stuki z onem masłem wyrabia. Jakości marchwią podprawia i ono się robi takie żółciuteńkie, jak majowe. Ja zara też poznałem, że ono moje.

— Et, bajbuga z was i tylo, odezwał się najgorliwszy stronnik pani pisarzowej, Maciej Łomignat—daliśta pisarzowi garnuszek masła,—to i co! wielga rzecz!... ale praśport zara był, nie stojeliście cały dzień przed kancelaryą.

-- Juści co nie, to nie.

— Nie darmo ludzie powiadają, że kto smaruje to jedzie. Pisarz je niezgorszy człeczyna, niechby tedy ostał se wójtem.

— A niechby ostał!

— Będziemy krzyczeli, żeby ostał.. będziem!

Pani Kobzikowska wyniosła dużą butelkę wódki i oddała ją w ręce Łomignata.

— Mój Macieju, rzekła z przymileniem, wyręcznie mnie i raczcie siebie oraz sąsiadów. Ja nie mam dziś ani chwili czasu... skoro zaś zobaczycie dno we flaszcze, to przysłę wam więcej.

— Już niech ta pani pisarka nie frasuje się nic. My damy radę onej butelczynie.

— Oj, oj.

— Pijcie na zdrowie.

— Nasz Maciej to je wielgi machennik do ćkła.

— Inszy człowiek będzie do kuźdej rzeczy sposobny, a inszy to i łyżką do gęby nie trafi.

— To niby mnie tak przymawiacie?

— Co mam przymawiać? Nikomu ja nie przymawiam, jeno tak powiadam, po sprawiedliwości.

— Ot nie prekomarzajcie się po próznicy, kiej bo piwo na kadzi, wypić nie zawadzi, a skoro pani pisarka dała butelczynę, to niech jej Bóg miłosierny na dzieciach błogosławi.

— Kiej ich nie ma.

— To bajki! choć i niema, a dla tego popóźniej będzie. Pamiętacie kumie, jak to Pieter Świdrowaty narzekał.

— A juści, Pieter Świdrowaty, co się z Magdą Baranówną ożenił.

— Czekali rok, dwa, trzy roki—nic—a on Pieter chudzina, mało się nie zamartwił na śmierć. I figurów dwie postawił i po odpustach chodził! Powiada, pamiętam, do mnie: Oj sierota ja!

sierota przez dzieci! Ni komu gadziny popaść, ni komu bydłęcia do wody zagnać, ni co!

— Bo i pewnie.

— Dlatego tera mają cościć ze siedmioro, a pochowali już z pięć.

— Wszystko w mocy Boga miłosiernego! zakonkludował sentencyjonalnie Łomignat—a wódka dobra je.

— Przez wody.

— Wiadomo, że nie taka jak u Mendla.

— O! żyd zawdy oszukaństwem idzie; już taka jego uroda.

Słońce wzbilo się wysoko—nadeszło południe.

Przez ten czas partya zwolenników pani pisarzowej z Maciejem Łomignatem na czele, uraczyła się rzetelnie.

Co prawda, wszystkie stronnictwa i frakcyje były także pod dobrą datą, a gdy naczelnik przyjechał i wyborcy zgromadzili się przed kancelaryą gminną, powstał gwar i harmider jak na jarmarku.

Kilku strażników ziemskich z trudnością usiłowało zaprowadzić porządek.

Stary wójt Sokół, wzruszony do łez, mówił do swoich zwolenników:

— Służyłem wam, moje ludzie kochane, po sprawiedliwości, rzetelnie, jako Bóg miłosierny i naczelnik wielmożny przykazuje. Mało wam? Chceta jeszcze? Mogę jeszcze... jeszcze będę harował dla was, tak mi Panie Boże we zdrowem skonanu dopomóż! Chceta mnie, to ostanę, a nie chceta zaś, to nie ostanę, jak do waszej woli i ochoty.

Sołtys liberalnych nie tak serdecznie traktował.

— Co mnie! mówił. Tak ja z wójtostwem jak i przez wójtostwa, jo se gospodarz obsiedziały; grunt mom! pieniędzy dość mom, a jakbym wójtemostał, to jeno dla biednych ludzi.

— Żeby nijakich opłatów nie było!

— I żeby egzekucyjów wójt nie robił.

— Cichojta! cichojta, krzyknął potężnym basem Łomignat, nie ten będzie co był, i nie ten co wy chceta żeby był—jeno jenszy, ja wam naraję osobę.

— Uspokoić się! cicho! wołał Kobzikowski, pan naczelnik chce do was przemówić.

Gdy się uciszyło nieco, naczelnik zaproponował wyborcom, żeby na następne trzylecie wybrali ponownie Sokoła.

Konserwatyści odpowiedzieli na tę propozycję jednogłośnym okrzykiem:

— Starego wójta chcemy! starego!

Liberalni milczeli, skrobiąc się z zadziwiającą jednomyślnością po czuprynach.

— Rozdzielić się, zawołał obyty w takich interesach Kobzikowski, kto za starym niech przechodzi na prawo, kto nie—na lewo.

Zrobił się ruch, jedni drugich przepychali, ciągnęli za rękawy, nareszcie po kilku minutach grupy zarysowały się wyraźnie. Konserwatyści stanęli po prawej stronie, liberalni po lewej, Łomignat zaś ze swoją gromadką na uboczu.

— Kogóż wy chcecie? spytał naczelnik liberalnych.

Odpowiedzi nie było.

— No! niech który wyjdzie i powie.

Dwadzieścia żyłastych pięści wypchnęło naprzód mówcę.

Był to Wincenty Pypeć, przeciwnik wszelkich systemów podatkowych z zasady.

— Nu, cóż ty nam powiesz? Kogo chcecie? zapytał naczelnik.

Pypeć aż do ziemi się skłonił.

— My wielmożny nacelniku, rzekł, doprasamy się, żeby wójtem ostał biednowolski sołtys Józef Gwizdał.

— A on chce być?

Sołtys naprzód wystąpił.

— Mnie, wielmożny nacelniku tak z tem jak i przez tego. Jo gospodarstwo swoje mom, pieniądze mom, i w moim rodzice jeszcze żadnych urzędników nie było—jeno dla biednego narodu...

Pypeć przerwał tę oracyę:

— My chcemy wielmożny nacelniku, żeby sołtys wójtem ostał, jeno żeby wprzód dał nam na piśmie kwitek...

— Jaki tobie kwitek?! na co?

— Niby żeby się podpisał, bo on je krzynekę piśmienny, żeby się podpisał u rejenta, jako żadnych opłatów nie będzie i egzekucyjów też nie będzie, żeby se gospodarze byli spokojne i żeby stójków nie dawali, jeno żeby zawdy przed kancelaryą stojała fornalka ze dwora—a jak wypadnie, na to mówiący siałwark, a gospodarze będą mieli w polu robotę, tedy żeby gospodarzy do siałwarku nie spędzać.

— Nu, a kto drogi zreperuje?

— Do drogów reperacyi, można nazganiać żydów, naród letki jest i do roboty nic nie ma.

— Ty mądry chłop. Ty już wszystko powiedział?

Pypeć znów zaczął się skrobać po głowie.

— Mybyśmy jeszcze chcieli, rzekł nieśmiało.

— Cóż takiego jeszcze? mów:

— A to prosę wielmożnego nacelnika, żeby nam jeszcze po jakie kilka morgów lasu...

— Ho! ho, jak ty się nazywasz człowieku?

— Jo się nazywam na imię Wincenty, a na przyzwisko Pypeć, moja chałupa trzecia z brzegu.

— Ty dziś trochę wypił, Pypeć, nieprawda?

— A juści, mało wiele wypilo się, bo do takiego jenteresu trza wypić.

— No, kiedy ty wypił, to idź spać—a wy obliczcie wiele głosów za wójtem, a wiele za sołtysiem.

Z gromadki na uboczu stojącej wyrwał się Łomignat, rozepchnął tłum potężnem ramieniem i stanął przed samą kancelaryą.

— Nie rachować! nie rachować! wołał—nie potrza! My i starego wójta nie chcemy i sołtysa nie chcemy! My też gospodarze jesteśmy i wolno nam obierać wójta, swoją głowę.

— Wolno, wolno, a kogóż wy wybrali?

— A to, doprasam się łaski wielmożnego nacelnika, myśmy wybrali człowieka adukowanego! co je piśmienny na wszystkie cztery boki, a jak weźmie pióro do garsci to mu jeno pisicy.

— Tak! tak! wołali przyjaciele Łomignata, nie chcemy ciemnego, nie chcemy chłopa, jeno wójta, coby urząd swój znał i mógł się obohodzić przez pisarza!

— A juści żeby przez pisarza był sam!

— Któż u was taki kandydat?

— Gamajda! wrzasnął Łomignat, wskazując palcem na Kobzikowskiego, pan Gamajda! pan Gamajda wójtem ma być.

Pisarz zaczerwienił się po same uszy—stronnictwa przeciwnie wybuchnęły śmiechem.

Powstał piekielny wrzask.

— Gamajda! wiwat Gamajda! Gamajda wójt!

Z trudnością hałas można było uśmierzyć. Łomignat z miną tryumfującą spoglądał do koła.

— Któż to Gamajda? spytał nacelnik.

— To je właśnie nasz pan pisorz, odrzekł Łomignat z pokłonem.

— Pisarz?—on zdaje się... Kobzikowski.

— Nie Kobzikowski, jeno Gamajda.

— On pijany panie nacelniku, jak Boga kocham pijany, tłomaczył pisarz.

— A jeno pijany!! Nie taka moja głowa żebym się miał zara upić. Jeno pana pisorza naszego szanuję i chcę żeby wójtemostał i jensze gospodarze też chcą. Pan pisorz ma grunt, co od Melcera kupił i taki je gospodarz obsiedziały jak i my. My chcemy pana pisorza i tylo! Krzycta chłopczy; Gamajda!

— Gamajda! wrzeszczał cały tłum zanosząc się od śmiechu.

— Ty gałganie, zawołał pisorz, ty łotrze! dlaczego mi ubliżasz, wiesz przecie, że ja się nazywam Kobzikowski,

— Kobzikowski?! odparł ze zdumieniem chłop, to pan pisorz Kobzikowski je?.. Tak mi Boże dopomóż, nie wiedziałem, sprawiedliwie żem nie wiedział. Pani pisarka zawsze mówi na pana gamajda i ja myślałem że Gamajda. Dyc żona chyba najlepiej wie, jak się mąż na przezwisko nazywa.

Z powodu tego intermezza' wybory na kilka godzin przerywano.

Kobzikowski, ośmieszony, jako kandydat przepadł. Wybrany mógł zostać tylko dawny wójt lub sołtys.

Gdy się zebrano powtórnie, wyborcy mieli się rozdzielić. Zwolennicy dawnego wójta stanąć po prawej stronie drogi, — liberalni po lewej.

Nieszczęściem dla stronnictwa liberalnych, lewa strona była pozbawiona drzew, a słońce bez miłosierdzia piekło—wszyscy więc przeszli na stronę prawą, gdzie od kilku ogromnych topól cień padał.

Dawny wójt wybrany został prawie jednomyślnie.

Tak to w życiu narodów, częstokroć drobna napozór, nie znacząca okoliczność, zmienia karty historii—cień przeohylił szalę zwycięstwa, cień rozbił stronnictwo liberalne, cień wyniósł na godność wójtowską Sokoła.

Pani Kobzikowska dostała silnego ataku nerwowego i położyła się do łóżka.

Nie tyle zabolęło ją niepowodzenie, nie tyle fakt ośmieszenia męża, ile myśl, że ta gadzina pisarzowa sądu, ta piękność z kaczkowatym nosem, tryumfować będzie, jeździć po okolicy, opowiadać całemu światu tę niefortunną przygodę. Daremnie Kobzikowski usiłował pocieszać—odepchnęła go.

— Zejdź mi z oczu! zejdź mi z oczu, wołała, jestem skompromitowana, shańbiona!.. Dotychczas byłeś zwykłym ciemięgą, a dziś jesteś już patentowanym gamajdą. Za takiego obwołano cię wgminie, za parę godzin dowie się o tem powiat, za parę dni gubernja... Zejdź mi z oczu, bo patrzeć na ciebie nie mogę!

To rzekłszy, wybuchnęła spazmatycznym płaczem, który się zaraz w śmiech spazmatyczny zamienił.

Kobzikowski głowę tracił.

Pobiegł po wodę, po ocet — ale zdenerwowana chora i szklankę z wodą i fiaskę z octem rozbiła o podłogę.

Widząc, że zwykle środki domowe nie pomagają, Kobzikowski kazał co prędzej zaprządz konia do wózka—i pojechał po Boberkiewicza.

On ma wpływ na kuzynkę, on ją uspokoić potrafi.

Nieszczęśliwa dama, zmęczona płaczem, usnęła—i słodkie obrazy, jakie widziała we śnie, były jedyną nagrodą rozczarowań i zawodów, jakich doznała na jawie.

Śliczny też miała sen.

Kobzikowski został niby wybrany na sędziego gminnego... Z jakąż rozkoszą patrzyła na ostateczne poniżenie i wyjazd sekretarzowej!

Słodkie, rozkoszne widziadło pierzchnęło jak gołębek, pozostawiając po sobie gorące pragnienie zemsty.

— Zemsty! zemsty! wołała z załamanemi rękami.

— Będiesz ją miała kuzynko, rzekł Boberkiewicz, wchodząc do pokoju cierpiącej damy.

Kobzikowski tak wziął do serca niefortunne wystąpienie Łomignata na wyborach, że samowolnie, bez poradzenia się żony, udał się do naczelnika, z prośbą o przeniesienie go do innej gminy.

Na szczęście dla Biednej-woli, Boberkiewicz dowiedział się o tych staraniach dość wcześnie i na żądanie pani Domiceli rozwinął zręczną agitację, skutkiem której plan niesfornego męża nie mógł przyjść do skutku.

Może i lepiej się stało.

Przeszedł jakiś czas—o wyborach przestano mówić, i nikt by nie wspominał o Gamajdzie, gdyby nie pani pisarzowa sądu, która starała się wszelkimi sposobami epizod ten ludziom przypominać.

Pani Kobzikowska zносиła to bardzo cierpliwie. Trzymała się na uboczu, w kościele zajmowała miejsce przy samych drzwiach prawie, słowem pozwoliła swej antagonistce zakosztować wszelkich słodyczy tryumfu, bez żadnego oporu i przeszkody.

Tak to przed wielką burzą bywa zwykle wielka, groźna swoim spokojem cisza.

Nauczyciel, który z powodu trudności finansowej natury, musiał dzielić swoją kaligrafję pomiędzy gminę i sąd—i częstokroć przez panią sekretarzową bywał zapraszany na obiad—widział na własne oczy radość jej z upadku antagonistki, ale pan Kaczor był człowiek przede wszystkim dyskretny i umiał zachowywać powagę i milczenie. Dzięki tej dyskrecyi płynął między dwoma przeciwnymi prądami szczęśliwie—i dobrze mn się z tem działo.

V.

Mendel siedział przy czerwonym stole, w alkierzyku obok izby szynkowej i dumał.

Przed nim była otwarta wielka księga hebrajska, ale wzrok Mendla nie spoczywał na niej.

Na dworze było zimno, śnieg padał. W karczynie pusto całkiem, ani nikogo z przejezdnych, ani z miejscowych miekańców.

Mendel zastanawiał się nad tem, dlaczego tak brzydko jest na świecie? Dlaczego śnieg pada? dlaczego karczma pusta, dlaczego nikt nie przychodzi?

Wszystko musi mieć swoją przyczynę, więc i ta chwila również, ale gdzie jest przyczyna? jak ją delikatnym rozumem wysledzić, w tem właśnie sztuka!

Podobno chłopci przywożą sobie wódkę z miasta. Podobno w sąsiedniej wiosce jakiś żydek sprzedaje gorzałkę w sekrecie, i tanio—podobno! Dyabli wiedzą skąd na człowieka nieszczęście może przyjść? Mendel zbada ten interes gruntownie—a jak zbada, to już będzie wiedział co robić. Teraz дума i дума i byłby może do samego wieczora думаł, gdyby nie to, że ciężkie kroki rozległy się w sionce.

Był to Łomignat.

Nieosobliwy gość, bo choć lubił pić dużo, płacić czem nie miał i conto jego wypisane na czerwonej szafie, doszło już do imponującej długości.

— Jak się macie Janklu, rzekł we drzwiach, jak się macie na ten ziąb...

— Niech dyabli wezmą! Jak ja się mam mieć? na taki pa-skudny czas, to ja się wcale nie mam.

— Co wam złego?

— A co mnie dobrego jest?

— Pieniędzy macie jak lodu!

— Aj! niech moje wrogi takich pieneędzy nie mają! Skąd teraz brać? taki coby chciał pić, to niema czem płacić—a taki

coby miał czem płacić, to wcale nie chce pić. Nu, niech kto potrafi żyć przy takiej procedurze.

Łomignat zaczął skrobać po głowie.

— Słuchajta-no Janklu, rzekł, ziąb szkaradny...

— Wiadomo, przecie tera zima jest.

— Wartoby wypić z półkwaterek...

— Ny—a co będzie z dawniejszem?

— Zapłacę, zapłacę, aby choć do jarmarku doczekać.

— Co będzie na tym jarmarku?

— Wieprzaka sprzedam i jęczmienia mam jeszcze krzynkę, to wymłócę, a tera na mnie wielgi ścisk, podatek trza płacić a nie ma czem... Wóz zładować, nie ma zielaza... Oj bieda, bieda mój Mendlu i tylo...

Mendel pogładził się po brodzie.

— Siądźcie-no sobie Macieju, rzekł.

Chłop siadł.

— Ja mam bardzo delikatne serce. Wy mnie nie znacie, wy nie znacie jakie ja mam miękkie serce.

— To i co 'mi z tej miętkości? Pieniędzy trza, a na wnętrzu coś cknę.

— Ny, ny, nie gadajcie dużo, macie półkwaterek wódki.

— Na kredę?

— Niech będzie na kredę, co mam z wami robić!

Chłop wypił podaną wódkę i splunął.

— Słuchajta no Mendlu, rzekł, dajcie no jeszcze.

— Jeszcze?

— Nie bójcie się nic. Już waszego zwartwienia niedługo. Może na drugą niedzielę wypłacę wam co do grosza.

— Skąd zapłacicie? kiedy do jarmarku jeszcze dobre trzy tygodnie.

— Bajki.

— Jakie bajki?! Czy to wy mnie będziecie uczyli kiedy jarmark jest?.. ja wiem lepiej od was.

— Ja wam i przez jarmarku zapłacę. Nie wierzycie?

— Co nie mam wierzyć, wszystko może być; może znajdziecie na drodze worek pieniędzy, może wam kasa w gminie pożyczkę da?

— Pieniędzy nie znajdę, a z kasy nie dostanę, bo Sokół na mnie krzywy, że go chciałem z wójtostwa zruć. Ale ja po drogach nie szukam i na Sokołowe ręce nie patrzę, jeno pójdę gdzieindziej.

— Gdzie wy pójdziecie?

— Tu, jeden gospodarz rał mi żydka na Zabłociu, on podobno rozpożycza pieniądze.

Mendel z politowaniem głową pokiwał.

— Oj Macieju, Macieju, rzekł, gdzie wasza głowa jest? powiedzcie mi, gdzie wy macie głowę?

— Gdzie i kuzdy człowiek.

— To nieprawda jest, na moje sumienie nieprawda.

— No, no—jeno nie ujadać.

— Miarkujcie sami... Wy idziecie szukać żydka do Zabłocia, a co ja jestem? ja jestem też żydek, taki dobry jak on, a może nawet lepszy... dla czego wy do mnie nie idziecie?

— A juści, jak człowiek chce półkwaterek wódki wypić, to się wzdragacie, a co dopiero pieniędzy!

— Jak wy pójdziecie do tamtego po pieniądze, to ja wam nawet całkiem wódki nie dam!

— Tedy cóż ja mam zrobić?

Mendel nie odpowiedział zaraz. Zaczął przechadzać się po izbie, gładził brodę, liczył coś w myśli, nareszcie natoczył całą kwaterkę i postawił przed chłopem.

Łomignat spojrział zdumiony.

— Widzicie, rzekł Mendel, jaki ja jestem! pijcie na zdrowie!

Chłop nie dał się prosić dwa razy.

— Ja dla was lepszy, niż rodzony ojciec—a wy chcecie chodzić na Zabłocie, chcecie mieć dwóch żydków! Czy widzieliście kiedy, żeby człowiek miał dwie matki?

— Dwie matki?

— Nie widzieliście, prawda?

— No juści że nie.

— A wy chcecie mieć dwóch żydów, jak to może być? Powiedzta wiele wam trzeba na podatek?

— Coś dziesięć rubli, złotych cztery i groszy ośmnaście.

— Wielga suma, na moje sumienie wielga suma! a wiecie wiele wy mnie za wódkę winni?

— Dyc musi tam stoic na szafie...

— Stoi—ale wiele stoi?

— Musi tyle ile napisane.

— Tam duzo stoi; tam stoi siedm rubli, dwa złote groszy piętnaście i złoty groszy sześć i znów ośmnaście groszy i potem cały jeden złoty i znowu dwa złote bez ośmiu groszy... rachujcie no wiele to razem jest?

— Ktoby to zrachował.

— To ja wam powiem krótko... to jest całe dwanaście rubli... tera rozumiecie?

— Skąd? na mój rachunek, to niby mniej.

— Na wasz rachunek? Co znaczy wasz rachunek? Po jakimu wy rachujecie. Ja nie wiem za co wy trzymacie nauczyciela?! No probujcie sami porachować... ja wam powiem wszystko po kolei.

Tu Mendel znowuz wyliczać zaczął: dwa złote bez ośmiu groszy, trzy bez sześciu, jeden bez siedmiu, ale Łomignat ręką machnął.

— Ktoby ta sobie głowę psuł, rzekł niechętnie.

— Macie recht, szkoda wasze głowe. Ja wam sam obrachuję

Wziął kredę do ręki i zaczął pisać po stole.

— Ny, powiedziałem, jest bez dzisiejszego, równe dwanaście rubli, możecie mi wierzyć, że jest... już ja dobrze obliczyłem. Jeżeli tu jeden grosz więcej porachowane, to niech moje wrogi nogi połamią, jeżeli mniej, niech ja nieżyję. Co to gadać. Ja jestem rzetelny człowiek, ja mam taką naturę... Nie wierzycie mi?

— Wierzyć wierzę, jeno nie mogę zmiarkować że tak dużo...

— Oj, oj... co ja mam z wami zrobić? Jeżeli wlejecie do konewki cztery kwatery wody, to wiele będzie razem?

— A no, jakby kwarta.

— Akurat kwartał a cztery kwarty to jest garniec. Jak się naleje raz trochę i znów trochę i jeszcze raz trochę, to się zbierze dużo, powiedzcie sami czy nieprawda?

— Juści prawda.

— Ny, ja wam Macieju co powiem: wy mnie winni trzysta rubli...

— Dopieroście gadali że dwanaście.

— Tak, tak, dwanaście, ja się trochę omyliłem, ja jestem rzetelny człowiek, ja nie chcę waszej krzywdy... a wiele wam na podatek potrzeba?

— Dziesięć rubli, złotych étery i grosy osmnastie.

— To ja wam co powiem; możebyście się jeszcze wódki napili?

— Chyba dość.

— Co to dość? Na takie paskudne zimno, czy to może być dość! Wyjrzyjta no oknem jak śnieg pada, paskudny śnieg, na moje sumienie. Ja nawet sam się z wami napiję, bo nam trza niedługo w drogę jechać...

— Nam?

— Tak, przecie nie będziecie żałowali swojego konia. Po-

jedziemy do miasteczka, zwyczajnie sobie na wozie; wyładujcie w drabinki, weźmiemy parę korcy zboża ze sobą...

— A wiele Mendel da za furmankę?

— Kiedy ja od was wcale nie chcę furmanki.

— Jeno co?

— Ny, słycał kto taki interes? Jak ja wam mówię, co my sobie pojedziemy do miasta, to ma się nazywać furmanka?! Czy każę wam brać ciężar, czy was najmuje?..

— A one parę korcy zboża?

— Co to znaczy? to nawet nie zboże jest tylko owies. Co wart tegoroczny owies, on całkiem wagi nie ma. Ja wam się dziwuję, że wy się pytacie co ja zapłacę za furmankę. Podobniej żeby wy mnie zapłacili za moją fatygę.

— A za co?

— Wy potrzebujecie dwanaście rubli na podatek.

— Nie dwanaście, jeno dziesięć, złotych étery i grosy ósmnaście.

— A w drodze nie potrzeba pieniędzy?

— Juści przydałyby się.

— Prócz tego, to mnie jesteście winni trzynaście rubli za wódkę.

— Nie trzynaście, jeno dwanaście.

— Aj jaką wy macie kiepską pamięć, mój Macieju. Przypomnijcie sobie dobrze, dopiero cośmy rachowali. Mogę wam jeszcze drugi raz policzyć.

— Kiedy mnie się wszystko widzi... ,

— Widzi się! wam się widzi... wam się ciągle widzi i to wam się też widzi, że jak wy zaprzęgniecie swojego konia do woza, to będzie furmanka.

— Bo nie co!

— Aj waj! Chaje Sure! Chaje Sure—słyszysz ty, Maciej powiada, że jego koń i jego wóz, to jest furmanka!!

— Oj, żeby tak moje wrogi szczęście mieli—rzekła z głębokim westchnieniem Chaja Sura. Tera jest świat! na moje sumienie, tera jest świat! Jakto można powiedzieć furmanka!— a zdaje się taki stateczny gospodarz —i on powiada, co kuń i wóz to się nazywa furmanka! Bogu dzięki, nie jestem dzisiejsza, męża mam, dzieci wychowałam i jeszcze nie słyszałam żeby kto takie paskudne słowo powiedział!

— Ha—odrzekł skrobiąc się w głowę Łomignat—skoro powiadacie że tak, to musi być, ale zawdy mnie się to we łbie nie mieści.

— Aj, moi kochani co wy chcecie? Czy to człowiek ma mieć taką głowę, żeby się w niej wszystko zmieściło?! Jakaby to głowa potrzebowała być! Chyba taka wielga jak stodoła. Ktoby mógł udźwignąć taki ciężar.

— Dyc prawda i to—ale zawdy...

— Co zawdy? jakie zawdy?

— Zawdy kuń i wóz to je furmanka.

— Ha! ha! na moje sumienie to jest czysta kimedya! Mnie już coś kole serca, broń Boże, pika ze śmiechu. Słuchajcie nō Macieju, ja wam co powiem. Kto jest u naszego dziedzica za furmana?

— Dziecioł Józef.

— To powiadacie że Dziecioł jest furman?

— Juści że jest?

— A kto jego żona jest?

— Magda Bańdurszczanka.

— Ja wiem że Magda, ale jak ją nazywają we wsi?

— Śtangretka.

— Ny, stangretka czy furmanka, to wszystko jedno jest— a teraz wy gadajcie że Dzieciołowa kobieta—to jest kuń i z wozem! Skąd wam takie paskudne pomyslenie przyszło? Ja wam co powiem Macieju. Wy jesteście dobry człowiek, a dwa dobre ludzie to powinni sobie dobrze robić.

— Juści to tak.

— Ja wam zara dobrze zrobię, bo wam dam półkwaterek wódki, choć sam nie wiem, kiedy ja będę za niego moje pieniądze oglądał. Wy, idźcie do chałupy, zaprzęgajcie kunia i przyjedźcie tu, to ja wam znów dobrze zrobię i pojedę z wami do miasta, weźmiemy z sobą parę korcy owsa

Łomignat wódkę wypił, ale się do odejścia nie zabierał.

— Czego wy jeszcze stoicie? Czego wy stoicie, Macieju?

— Ja siebie myślę...

— Na co? po co wy macie myśleć? Idźcie lepiej wóz smarować. Włóżcie trochę słomy bo zimno jest.

— Ale...

— Co ale, za co ale? co z tego ale jest? Odziejcie się dobrze, weźcie sukmanę i kozuch, weźcie też chleba w kobiałkę, bo wrócimy dopiero jutro pod noc, a może i w nocy.

— A cóż tam będziemy tak długo robili?

— Cała parada: nic. Ja się tylko pomiędzy żydkami postaram dla was trochę pieniędzy, a z powrotem wstąpimy sobie do Rudki.

— Jakże wstąpimy, kiedy to dobre dwie mile w bok!

— Jakie dwie mile? Mój Macieju co wy gadacie? Jakim sposobem wy narachowali dwie mile?

— A toć wiadomo, ale co my tam będziemy robili?

— Całkiem nic. Weźmiemy z gorzelni beczkę okowity, będzie nam weselej jechać.

— To znowu mnie się widzi, że będzie jakby furmanka.

— Ha?

— No, to jak do okowity, to się najmuje zawdy furmanka.

— Mnie zdaje Macieju, że wyście się krzynkę upili. Na moje sumienie! Ja myślałem, że wy macie trochę mocniejsze głowę.

— Com się miał upić!

— Ja nie wiem. Wam cała furmanka w głowę zajechała,

żebym ja tak nieszczęścia nie miał... Idźcie, idźcie, nie błażmućcie już, Pamiętajcie że wam trza podatek płacić.

— A juści.

— Kiedy to trzeba płacić?

— Sołtys gadał że pojutrze.

— No—i wy stoicie? To cała kimedya jest. Wy czekacie żeby wam krowę zabrali?

— Idę już—rzekł z rezygnacją chłop.

Mendel nie spieszył się z wybieraniem. Usiadł przy swoim stoliku i zaczął przewracać kartki wielkiej księgi nabożnej, przyspiewując pół głosem.

Wiedział on, że nim Łomignat wóz nasmaruje, nim konia napoi, zaprzęże, a nim się sam wybierze, to upłynie dobrze ze dwie godziny czasu, jeżeli tylko nie więcej.

Mendel doskonale znał „swoich“ chłopów i ich zwyczaje, a ponieważ w karczmie po wyjściu Łomignata nikogo nie było, więc skracał sobie czas czytaniem mądrej i nabożnej księgi.

Chaja Sura tymczasem krzątała się koło komina, aby przygotować posiłek.

Gdy Mendel wzmocnił swoje siły, wóz Łomignata zaturkotał przed karczmą. Mendel pomógł chłopu zanieść na furę pięć korcy owsa, potem wdział na siebie cztery żupany, przepasał się krajką i wsiadł na wóz.

Śnieg padał, droga była ciężka. Na groblach gruda przykra, a w dołkach, gdzie wiatr śniegu nanosił, zasy, z których koń Łomignata ledwie mógł wóz wyciągnąć.

Chłop, żalując szkapiny, zląził z woza i Mendla zachęcał, żeby piechotą też szedł.

— Aj waj! co wy chcecie Macieju! odpowiedział żyd, wy nie wiecie jakie ja mam delikatne zdrowie! Niech moje wrogi tyle nieszczęścia mają. Mnie bardzo ciężko lecieć na piechotę. Mnie zaraz kole serca robi się przeszkodzenie, pikanie, kolka,



Śnieg padał, droga była ciężka.



boleszcz, co chcecie, wszystko cierpienie! Co mnie te doktory kosztują, to ja sam nie mogę porachować, taki delikatny jestem.

Chłop nie odpowiadał nic. Wołał na szkapinę swoją: wio! hetta! a gdzie było ciężko, to się ramieniem pod drabinę podsadzał i ciągnąc koniowi pomagał.

W takiej chwili na wargach Mendla zjawiał się ironiczny uśmiech, bo jakże! cóż to za głupota, żeby człowiek bydłciu pomagał. Koń od tego jest żeby ciągnął. Jak nie może ciągnąć to niech go dyabli wezmą! Chłop też jest na to, żeby płacił, a jak już nie ma czem płacić, to także niech go dyabli wezmą. Koni i chłopów na świecie nie braknie, bo bez nich nie byłby świat. Koń ma siłę i chłop ma siłę. Nawet dużą siłę.. nie wiadomo który większą... ale że koń o swojej sile nie wie, więc go pięcioletni bachur może prowadzić za łeb i jeździć na nim wygodnie. Chłop też nie wie, że ma siłę, a komu delikatnego rozumu nie braknie, ten może jeździć na chłopie jak na koniu. Tak już jest i tak zawsze było i tak do końca świata będzie. Na co konia żałować? na co chłopca żałować? kiedy oni po to zostali stworzeni, żeby dźwigać! Mają bydłą siłę i bydłce zdrowie, delikatności żadnej w nich niema. Żeby chłop miał taką silną głowę jak silne plecy ma!.. Aj! waj! ciężko o tem pomyśleć, ale świat urządzony jest mądrze. Przy sile musi być feler, bo inaczej siła mogłaby się rozbrykać. Chłop ma w głowie feler i przez to na świecie dobrze jest, przez to ludzie z delikatnym rozumem życie mają.

Tak sobie rozmyślał Mendel, w chwili gdy Łomignat potężnem ramieniem unosił wóz z ciężarem, wołając: wišta, wio mały! I Łomignat myślał także, lecz myśli jego biegły inną drogą. Nie mógł na żaden sposób skombinować, jakim sposobem złoty i groszy sześć, dwa złote bez czterech groszy i znów z pięć razy po złotemu groszy sześć, siedm półkwaterek i pół kwarty, czynią razem trzynaście całych rubli. Nie mógł również

pojąć: dla czego jak żydzi najmują furmankę, to trzeba im dać konia z wozem, a jak on daje Mendlowi konia z wozem, to nie jest furmanka. Nie mógł i tego dojść: w jakim celu, na taki psi czas, wlecze się do miasteczka, męczy konia.

Wszystko to mieszało mu się w głowie bezładnie. Umysł pracował bardziej, niż ramiona dźwigające wóz, niż nogi brnące po kolana w śniegu, ale ramiona i nogi pracowały skutecznie, a głowa bez żadnego rezultatu.

Mendel przerwał to dumanie.

— Macieju, słuchajta-no Macieju—rzekł.

— A co?

— Ja wam co powiem. Jak my tak będziemy jechali, to przed nocą nie staniemy w miasteczku.

— A kto nas goni? dyć nie jarmark.

— Wiadomo co nie jarmark, ale pojutrze sołtys wam każe zapłacić jedenaście rubli.

— Nieprawda; bo jeno rubli dziesięć, złotych cztery i groszy ośmnaście.

— A skąd wy ich weźmiecie?

— Dyć powiedzieliście że dacie.

— Powiedziałem, to prawda jest, ale ja nie mam. Ja muszę sprzedać owies. Trzeba się pośpieszyć bo już późno, wszystkie żydki będą spali jak my przyjedziemy.

— Kiej droga, droga, psia kość, ciężka.

— Co to ciężka. Na taki kuń jak wasz kuń jest, to niema ciężkie drogę, na moje sumienie.

— Toć i mój kuń nie zielazny.

— Słuchajcie-no, daleko jeszcze do Wygody stąd?

— Będzie ze dwie wiorsty.

— No—to tam wasz kuń odpocznie. Dacie mu kłaczek siana a sami napijecie się półkwaterek wódki. Wy macie recht, zawsze o bydłęciu potrzeba pamiętać.

— Juści prawda. Wio, wišta!

Droga była trochę równiejsza. Konisko kroku przyspieszał. Po krótkim odpoczynku w Wygodzie, gdy koń garstkę siana przegryzł, a chłop dwa półkwatki wódki wypił, podróż raźniej już poszła i przed zachodem słońca wóz zadudnił na nierównym bruku mieściny.

Zaraz zbiegła się gromadka żydów, z którymi Mendel miał bardzo ożywioną rozmowę. Owies został sprzedany i Łomignat, poznosiwszy worki do spichrza wielkiego kupca od zboża, wjechał do szopy zajazdu.

— Ny, mój Macieju—rzekł Mendel. Bogu dziękować mam tera trochę pieniędzy, to wam wygodzę. Mnie samemu bardzo potrzeba pieniędzy, ale ja mam taką naturę, że wolę sam cierpieć, a kogo poratować. Na moje sumienie! Wy u mnie pierwszy, niż ja sam, niż żona, dzieci! Niech ja cierpię, aby wy tylko mieli. Postawcie swego kunia w stajni, dajcie jemu dobrze jeść, kupcie jemu pół garca owsa! A sami przychodźcie do izby.

— Toć przyjdę.

— Wy mnie musicie kwit napisać.

— Jakże napiszę, kiej nie jestem piśmienny.

— To bajki, przyjdzie taki pan, co bardzo dobrze pisze, aj, jak on pisze, to nawet pomiędzy wielkie panowie mało kiedy trafi się taki mechanik.

— Cóż to za pan? Musi ten z czerwonym nosem, co łonńskiego roku w kryminale siedział za oszukaństwo?

— Tfy! niech un zginie! Kto do niego chodzi? do takiego łapserdaka? Tu jest teraz nowy adwokat, całkiem świeża osoba, z wielkiego miasta wychodzi. Ha! ha! to głowa jest! Wy nie wiecie o tem, bo skąd wam to wiedzieć, wy nie wiecie że najpierwsze adwokaty warszawskie, jak sobie całkiem zepsują głowy, że już nie mogą nic poradzić, to posyłają telegraf do naszego Nuchimka, żeby on im głowy otwierał!

— Do jakiego Nuchimka?

— Ny, do tego naszego nowotnego adwokata.

— Nuchimek to musi żyd...

— Nu—żyd.

— A dopiero Mendel powiedział że to je pan.

— Ma się rozumieć że pan. Obaczycie go. On chodzi w krótki surdut, a na nosie to ma takie okularów jak powiatowy doktór, albo jak geometra, to osoba jest! na moje sumienie osoba! miłosierny człowiek! On za pisanie bierze całkiem nie dużo, on nie lubi biednych ludzi krzywdować... Dacie jemu rubelka, to on wam tak ślicznie napisze, że będzie warto najmniej trzy ruble. Idźcie już, obrządźcie swego kunia i przychodźcie zara do izby.

— Do jakiej izby?

— No tutaj przecie—do szynku.

Łomignat szkapinie swej torbę na łeb włożył, starą sukmaną ją okrył—i wszedł do szynku.

Znajdował się tam, oprócz gospodarza, Mendel, Nuchimek i kilku jeszcze żydów.

W kącie, na ławce, drzemał dobrze podchmielony łyk miasteczkowy, w granatowej kapocie, przepasany pasem czerwonym.

— Ny, Macieju—rzekł Mendel—nasz pan adwokat jest...

To mówiąc, wskazał palcem Nuchimka.

— Osoba, powiadam wam, na moje sumienie, że to cała osoba!.. On głowę ma! ha! ha! taka głowa!

— Wielga głowa! zawołali razem obydwaj żydzi.

Nuchimek zachowywał się bardzo poważnie. Powierzchnością różnił się od chałatowych swoich współbraci. Bródkę przystrzyżoną miał krótko, na gęstych, kręconych, rudej barwy włosach kapelusz; ubrany był w żakietę przedpotopowego kroju i nieustannie trzymał ręce w kieszeniach, co w jego własnym przekonaniu, nadawało mu powagę ministra.



Nuchimek zachowywał się bardzo poważnie ...i nieustannie trzymał ręce w kieszeniach...

Łomignat podejrzliwie spoglądał na tę postać nową i nieznaną, a Nuchimek patrzył na niego z wysoka, przez okulary, w błyszczącej tombakowej oprawie.

— Pan adwokat—rzekł Mendel do chłopą—już wie co ma napisać, on nie lubi długie klektanie, dwa słowa i zaraz cały skutek! Pan adwokat napisze za was rewers, bo wy jesteście niepiśmienne.

— A dyć niepiśmienny.

— Pan adwokat zara napisze.

— Ny, tak—odezwał się Nuchimek—ja nie ma czas, ja potrzebuje zaraz jechać do zjazdowy sąd z opiłacyem. Tam cały sąd na mnie czeka.

— Cały sąd czeka! Czy wy słyszycie Macieju—cały sąd! to nie bagatelka jest! Spieszmy się.

— Ha, skoro spieszmy, to spieszmy. Niech Jankiel dają pieniądze i...

— Jakto pieniądze?

— Ano, chcieliście...

— Obiecałem, ale najpierw trzeba obrachować, a potem rewers napisać. Wy widzita Macieju, że ja jestem dla was jak rodzona matka, na moje sumienie! Uważajcie no według tego, jak my oba rachowali, to wy mnie winni za wódkę czternaście rubli.

— Trzymaście jeno!

— Już kręcicie, aj waj, jaka u was pamięć? Całkiem zepsuta pamięć! Mnie się należy czternaście, a dla okrągłości będziemy rachowali dwadzieścia.

— Co!?

— Dwadzieścia.

— Nie chcę, za co mamy rachować dwadzieścia?

— Niby to wy przez miesiąc nie wypijecie za sześć rubli gorzałki?

— Ha, może się i wypije.

— Ny, to nie lepiej będzie mieć zapłacone z góry? Tak to przychodzie i musicie prosić żeby wam zborgować, a jak już naprzód będzie zapłacone, to możecie każdej chwili przyjść i krzyknąć: dawaj! wiele wam się tylko podoba. Zawdy to wielka wygodność jest.

— Oj, ojl! jaka to wygodność—wtrącił Nuchimek.

— Ny, słuchajcie, sam pan adwokat powiada że to jest wygodność, a skoro taka głowa powiada, to już musi być prawda. Ny, jak wy myślicie Macieju, dopisać te głupie sześć rubli?

— Ha! to i dopiszcie, jeno zebym ja zawdy gorzolkę miał na kuźdy moment.

— Ny, ny, co się macie boić? będzie stało na piśmie... Tera na podatek wy potrzebujecie też piętnaście rubli.

— Nie piętnaście, jeno dziesięć, złotych cztery i groszy osmnaście.

— Ja wiem, ale dla okrągłości to trzeba pisać piętnaście a mnie za procent też piętnaście, to będzie całe parady pięćdziesiąt.

— O la Boga! a to skąd!

— Rachujcie! Wam się widzi, że dziś można dać pieniędzy bez procent? Wam dziwno, że trzeba płacić procent? To nie idzie do wasze główel a czy wy myślicie że to tylko chłop płaci procent? Ha! ha! żeby wy widzieli że sam król turecki płaci procent... Taka osoba! Płaci! i nic nie gada, jeszcze dziękuje żydkom, za to że oni jemu chcą pożyczyć.

Chłop w głowę się poskrobał.

— Wypijcie no sobie Macieju dobry kieliszek gorzałki, to zaraz wam się głowa otworzy, a pan adwokat tymczasem niech pisze.

— Zara...

— Zara! zara! Słyszeliście że niema czasu, pan adwokat niema czasu, musi zara jechać do sądowego zjazdu.

— Na całą noc... już furmanka stoi...

— Niechby ta i napisał, jenoście mój Mendlu okropnie nabasowali.

— Ny! nie, to nie! Czy ja was potrzebuje przymusić, żebyście brali moje pieniądze!? moje krew! Nie chcecie—to nie! pan adwokat może sobie jechać, a czem wy zapłacicie podatek to ja nie wiem. Co mnie do tego?! Sołtys przyjdzie, zabierze wam krowę... Niech zabierze! ja nie będę płakał.

— Aj waj, odezwał się obcy żyd, aj waj, skąd wy jesteście gospodarzu?

— Dyć z Biednowoli.

— Ny, ny, wy z Biednowoli! Sołtys przyjdzie do was, krowę zabierze. Czy wy dacie się zgubić za podatek?.. Aj! żebym ja miał kawałek krowe, tobym nie dał sobie zabrać. Krowa to majątek jest, to lepsze niż kuń. Co wart jest gospodarz przez krowy?!

— Juści prawda.

— No, to dlaczego nie bierzecie pieniądze od Mendla?

— Kiej drze przez pamięci.

— Już nie drze, już on nie drze, zawołał Mendel.

— Opuście?

— Wcale nie dam pieniędzy!.. Na co kto ma powiedzieć że ja drę? Na co za moją dobroć ma kto gadać, że ja jestem rozbójnik! Ja chciałem tego gospodarza ratować, chciałem jego krowę ratować, a on powiada że ja jego drę! Niech idzie do takiego co nie drze...

Mendel wielkimi krokami zaczął chodzić po karczmie. Pan adwokat wydobył z kieszeni blaszane pudełeczko po szuwaksie, napełnione tytoniem i powoli, z wielką starannością, skręcał papierosa.

Obcy żyd przysunął się do Macieja.

— Słuchajcie-no gospodarzu, rzekł półgłosem, ja wam radzę skończyć z Mendlem, teraz taki paskudny czas! skąd wy dostaniecie pieniędzy?

Łomignat był już nawpół przekonany.

— Mendlu, słuchajcie no Mendlu! zawołał.

— Ja nie potrzebuję was słuchać... ja mam swoich interesów! Zapłaćcie mi naprzód za wódkę, co mi się należy.

— Toć przecie...

— Co przecie! przecie to głupstwo jest! Ja nie chcę robić z wami interesu! żadnego interesu. Wcale nie chcę! Wy powiadacie że ja jestem rozbójnik!

Obcy żyd rolę medyatora podjął.

— Panie Mendel—rzekł— nie potrzeba taką zawziętość mieć. Ten gospodarz powiedział brzydkie słowo, ale więcej już tak nie powie. Trzeba jemu darować. Szkoda gospodarza, on nie ma na podatek, jemu krowę zabiorą. Kto jego ma ratować jak nie pan Mendel?

— Ny, mniejsza z tem. Ja wam chcę pokazać Maciej, że jestem zawsze delikatny. Ja was poratuję... niech pan adwokat pisze.

— Kto da na markę? spytał Nuchimek.

— Oj, oj, gospodarz dał Maciej da, on nie taki żeby miał na głupią markę żałować.

Nuchimek z wielką powagą zasiadł przy stole i napisał następujący dokument:

„Niziy podpisałszy szebie u dołu Maciej Łomignat krześcianin od Biedno wole tutejszego gubernie wiporziczał
 „od samego pana Mendeli Kwiat całe summe w gotowyz-
 „ne walute z monetem które kwituje pięćdziesiąt rubli
 „N. 50 i wyraźnie 50 które się jego należy oddać za całe
 „trzy miesiący bez wezwania i podyma sze z dobrem wołem

„za każde miesząc jakby był nie płacony bez żadne gaudanie ma zapłacić nieustojków po 10 rubli które zabezpieczy na wszystkie majątek które sze może znajdować w gospodarstwo od wieś Biednowole który całkiem niegramotny za Maciej Łomignat z pełny patencye podpisuje Nuchym Berkowicz Klopman, które było świadki obywatela Srul Bogaty i Wigdor Kaltmann.“

— No, widzicie Macieju, jak to pisane jest! To głowa, na moje sumienie to głowa. Niech kto drugi potrafi tak napisać. Macie swoje piętnaście rubli, a panu adwokatowi zapłaćcie rubelka.

— I sześćdziesiąt kopiejki za markę.

— Kiej to pisanie jest przez marki.

— To się później przylepi, tymczasem trzeba zapłacić.

Mendel zmienił pieniądze, pan adwokat, zabrawszy co swoje, odszedł.

— Wy jego Macieju nie znacie, rzekł Mendel, co to za osoba! Jakie on sprawy prowadzi, a jak da papier na pocztę, to do samego Petersburga dojdzie.

— Dojdzie?

— Na moje sumienie! żebym ja tak zdrów był!

— A to ci sprawna bestyja!

— Ha! ha! on dla chłopów z Brzozowa wyprawował cały las. Teraz oni tak handlują z drzewem jak jakie obywatele! Dwa lata było sprawa; od dworskiej strony stało sześć mecenasów, same główne mechaniki, co potrafią gadać dwa dni i dwie nocy z jednym tchem. To ich było całe sześć — a nasz Nuchymek przyszedł, jedno słowo nie powiedział, tylko pokazał sądowi kawałek kodeksu — i zara przysądził! Tera chłopcy mają lasu, a j co oni mają lasu i jaki to las jest...

— Toć podobno ich z onego lasu wypędzili; powiadał jeden gospodarz na jarmarku, że ich het zafantowali za kary...

— I to nie jest całkiem prawda. Oni zapłacą karę za jedną furę, a wywiozą sto fur. Ich tego nasz Nuchimek nauczył.

— Jakże? Kiej las wyprowował i kiej to już na to mówiący, ich las, to za co mają karę placić?

— Za co?

— A no jakże—toć do swojego kuźdy śmiało może iść.

Mendel zamyslił się.

— Ja wam powiem, rzekł, to nie jest kara, to tylko podatek. Jak wam kiedy wypadnie jaka kwestya, to idźcie do Nuchymka jak w dym. On wam wszystko wyprawuje. To głował On potrafi z żywego umarłego zrobić, a jak kota wykręoi, to zawsze tam będzie głowa gdzie on chce.

— Taki ci?!

— Oj, oj!

— Gdzież on się tak wypraktykował?

— Uczony jest! pisał w sądzie.

— W sądzie?

— Nie tak w samym sądzie, ale zawsze blisko sądu. Ja wam powiadam, bo taką osobę to dobrze jest znać!

Noc już była późna. Łomignat nieźle cięty, poszedł spać na furę do szopy. Mendel korzystał z gościnności w apartamentach szynkarza.

Nazajutrz pojechali z powrotem. Mendel miał mnóstwo interesów, więc zbaczali wciąż z drogi, wstępowali do gorzelnii po okowitę i dopiero późno w nocy stanęli w Biednowoli.

Łomignat zapłacił w terminie, na ręce sołtysa, dziesięć rubli, złotych cztery i groszy ośmnaście, ale na żaden sposób nie mógł skombinować, dlaczego ma ze trzy miesiące placić pięćdziesiąt rubli Mendłowi.

Wezwał do narady kobietę i liczyli oboje bardzo długo i z tej okoliczności wywiązała się drobna sprzeczka małżeńska,

z której Łomignat, acz nie przekonany, wyszedł jednak z podbitem okiem.

Jak się komu wiedzie, to już we wszystkim!

VI.

Na samym skraju wioski, w małych okienkach chałupy jaśniało światło, choć już dzień był.

Czerwonawe płomyki migotały, a w izbie słyhać było płacze i jęki. Sam gospodarz Filip Skrzypek, ciągnął z za stoły długą sosnową tarcicę; na podwórzu, sąsiad Jan Stępor stał oparty o płot, a Łomignat, majstrowaty trochę i do różnej roboty sposobny, ciosał siekierą na pieńku kołeczki dębowe.

Na ziemi leżała piłka stolarska, świderek, młotek, słowem te kilka instrumentów, za pomocą których sporządza się prostą, chłopską trumnę.

Z wieżyczki kościelnej odezwał się dzwonek.

Chłopi pozdejmowali czapki i wzdychając ciężko, odmówili wieczny odpoczynek.

— Kiedyż nieboszczka pomarła? zapytał Łomignat.

— W nocy, kumie, w nocy; już północkowe kury przepieli, ona zażądała wody, ale nie napiła się nawet, bo jej zara zęby ścisnęło... na szczęście.

— Ja też miarkowałem że u was bieda, wtrącił Jan, bo akurat o północku, wasz pies wył skaradnie.

— Wiadomo, nieme stworzenie śmierć widzi i boi się.

— Dyc i człowiek się boi.

— Oj ratowałem ci ją ratowałem i lekowałem różnemi lekami... nic nie nadało!

— Wola Boga miłosiernego.

— I stara Walencicha była i Marcinowa była i kowal był — i do doctora wozilem, żeby jej proseczek na lekką śmierć zapisał.

— Oj te doctory! doctory! Niech ich marność. Jenó pieniądze brać...

— Dobra kobieta była.

— Dobra! dobra! do kuźdego obrotu. Ona i przy bydle i w ogrodzie i kiele przędzy i z dzieciami.

— Ano, zmarło się.

— I nawet nie chorowała długo.

— Nie, może temu ze trzy tygodnie, jak zaczęła dychać, a dziś już po wszystkiemu.

— Wola Boga miłosiernego. Pójdźcie ano Filipie do izby, miarę weźcie, rzekł Łomignat.

Filip wziął drążek i poszedł powoli do chałupy.

— Kiepsko tera je chłopu, rzekł Jan.

— Ha, juści wiadomo że kiepsko, ale na świecie dobrości je mało. Z babą złe, bo się jeno kłóci i pomstuje — a przez baby także nijako.

— Taki je od Pana Boga przykaz, bo jako Jadam na świecie ostał stworzony, tak mu Pan Bóg zara na to mówiący, dał Jewę, żeby sam nie siedział w chałupie.

— Oj tak, tak mój kumie, dziś człowiek żyje, a jutro gnije.

— Wola Boga miłosiernego!

Filip nadszedł, niosąc drążek.

— Oto i miarka, rzekł. Nie wielga kobiecina była.

— Zawdy trza krzynkę przypuścić, żeby nie miała ciasności. Nie użyła wiela na tym świecie, niechże choć po śmierci leży sobie wygodnie.

Łomignat piłkę wziął i podług miary deski przyrzynał. Młody wdowiec z Janem wiercili dziurki i strugali kołeczki, przerywając sobie tę czynność westchnieniami ciężkimi i rozmową.

— Okadzanie nie pomogło, mówił Filip i zamawianie nic. Mordowała się jeno nieboga, mordowała skaradnie. Kowal krew chciał puszczać, ale się bojał.

— Czego?

— Bojał się... musi doktorów się bojał.

— Ot, to.

— A juści. Oni na to okrutnie zawzięte. Jak łośńskiego roku Michałowi Icek krew puścił, to go doctory przez dwa roky po sądach wodziły. Żeby tak na jenszego człowieka, to by już dawno w kryminale siedział, ale zyd zawdy się wykręci.

— Wiadomo, od tego on je zyd. Człowiek jenszy bojący, i jak go, na to mówiący, do sądu wezmą, to jeno czapkę w garści trzyma i stoi, a gęby nie potrafi otworzyć; zaś zyd to jak piskorz, choć go i całą garścią capnąć, zawdy się wysłiznie. Icek się też wysłiznął, a tera jak puszcza komu krew, to się tak z nim schowa, żeby go nikt a nikt nie podpatrzył.

— Mądra bestyal ale zawdy szkoda że się kował bojał. Krew puścić to je dobra rzecz, byłaby kobiecisko wyzdrowiała.

— E, alboby wyzdrowiała albo i nie, rzekł wdowiec. Ja zrazu miarkowałem, jak jeno położyła się nieboszczka, zara zmiarkowałem że na księżą oborę patrzy. Taka kwarda kobieta to się dla byle jakiej przyczyny nie położy.

— Juści prawda, wasza kobieta nieboszczka okrutnie była ciekawa do kuźdej rzeczy, gdzieby ona się układła?!

— Wiadomo, aż już całkiem zaniemogła, że ani ręką ani nogą. Najpierw ją ziąb straszny wziął, a potem zara w gorącość wrzuciło. Daliśmy wódki przez pieprzu, jeszcze gorzej, z pieprzem też niewiele nadało... potem znowu kobiety kazały przez pieprzu i znów z goździkami. Tedy już ją w wielką gorącość wrzuciło. Tak od niej duch szedł jak od pieca.

— Znać już jej było nieboraczce sądzone na śmierć.

— Musi że nieco, jeno tak. Raili ludzie tak i siak, a najbardziej kobiety... I co jeno kazały tom robił, potem woziłem ją do doktora...

— Oj te doktory, doktory! oni człowieka zara na tamten świat wyprawia.

— Nieboszeczce zapisał sześć proszków, aliści ledwie jeden wzięła i już było po wszystkimu.

Gawędkę tę przerywał zgrzyt piłki i łoskot młotka, którym Łomignat wbijał kołeczki dębowe.

Przed południem jeszcze trumna była gotowa. Łomignat wyskrobał ją cokolwiek heblem i rzekł:

— To i już, nie siła człowiekowi potrzeba, cztery deski i dosyć.

— Bóg wam zapłać Macieju, rzekł wdowiec, i wam Janie, żeście nieboszce na wieczne odpoczywanie taki porządny statek sporządzili.

— Nie ma za co dziękować, niech sobie odpoczywa z panem Jezusem.

Grzędzikowski, cięty już trochę, wszedł zamaszycie na podwórko.

— Witajcie Onufry, rzekł gospodarz.

— Właśnie na ten przykład przyszedłem do was Filipie, przez interesu, jeno dla pocieszenia... abyś niedopuszczał sobie do głowy człowieku, przeciwko woli Bożej, której, na ten przykład, kuźdy robak i kuźde stworzenie jest podpadające. I jako, na ten przykład, kiedy pierwsze rodzice ludzie, niby Adam i Jewa, bez grzech, a nabardziej bez Jewę, a bardziej na ten przykład, bez babską ciekawość, ostali się biedne i wypędzone przez janioła ze swojej posiadzalności w raj, na ten przykład, Bóg miłosierny śmierć nad kuźdem stworzeniem postanowił i przykazał, żeby wszystkie żywe do czasu swojego dożyli i potem żeby umarte byli i rozsypali się na ten piasek i na ten proch, z którego wzięte są, na ten przykład.

Chłopi westchnęli z głębi piersi, wzruszeni erudycją, a bardziej jeszcze potężnym basem Onufrego. Łomignat podniósł

rękę do głowy i zastanawiał się w myśli, czy godzi się tak pięknej oracyi słuchać w czapce, czy nie.

Onufry tymczasem odetchnął, odkaszlnął i perorował dalej.

— Które, na ten przykład, ludzie oddane zostali śmierci i ta chodząca jest ode wsi do wsi, od chałupy do chałupy, a gdzie przyńdzie tam płacz robi, na ten przykład, i smutek. I jako pierwszy brat, na ten przykład Kain, brata swojego Abla, bez zazdrość kolkiem uśmiercił, poczęła śmierć chodzić po świecie i brać dzieci od ojców, kobiety od chłopów; chłopów od kobietów, — aż pan Jezus miłosierny raz jeszcze przyńdzie i wszystkie ludzkie do sądu swego sprawiedliwego na ten przykład zawoła.

— Oj zawoła, zawoła!... jęknął wzruszony Łomignat.

— Ty zaś Filipie, chociaż o kobietę swoją utracił, do głowy sobie tego nie dopuszczaj, bo wola Boska na to była. Pan Bóg miłosierny siła babów stworzył, musi na to, żeby wdowce opuszczone nie byli. Tedy somsiady twoje, gospodarze uczciwe, choć, na ten przykład, óto Jan i Maciej trumienkę jej sporządzili—i ja niechwalący się oto zadzwoniłem jej nabożnie i jeszcze, da Bóg wieczora doczekać, zadzwonię i dołek jej wykopię na cmentarzu, kiele brzozy, na wzgórecku, w szczerym piasku, że se będzie kobiecina leżała na ten przykład jak w puchu.

— Bóg wam zapłać, rzekł wzruszony Filip, Bóg zapłać.

— Niema za co... Nie wiele ja ta komu za żywota na ten przykład co mogę uczynić, ale po śmierci, skoro na moje dziedzictwo przyjdzie, nie żałuję. Szczerem sercem, na ten przykład, dół wykopię, jakby dla samego siebie, moje ludzkie. Takie to uważacie na ten przykład, moje gospodarstwo dziadowskie. Moje pole cmentarz, moja socha... rydel i motyka, pszenicy na ten przykład nie sieję, jeno wsadzam one trumienki w ziemię, jako kartofelki, Bogu miłosiernemu na chwałę.

-- Oj prawda, prawda, mój Onufry.

— Tedy oto, żeby było po ludzku i jak się patrzy, trzebaby jeszcze smołą krzyzik namalować na wieku.

— A juścił rzekł Łomignat, jeno że ja nie potrafię tak foremnie.

— Dajcie no smoły, przerwał Onufry, ja na taki jenteres próbant jestem... Zawdy na ten przykład do malunku byłem ciekawy... z małości jeszcze... A parkan kiele kościoła kto malował?

— Toć Onufry.

— A podłogę u dobrodzieja, co się tak świeci jak ókło? Oj żeby nie moja głowa, to by się one deski nie błyszczały jak złoto. Ksiądz przywiózł maści takiej z Warsiawy i powiada: chodź jeno Onufry, bo ty sprawny jesteś do kuźdej roboty... powynos graty i maluj podłogi tą maścią, a potem trzej sukmem do suchości. Ja zdjąłem sukmanę, umalowałem i jak uszło, począłem trzeć, trzeć—a dopiero one deski jak się poczną świecić!... Czekaście no, oto i krzyzik na wieku i w głowach krzyzik... trochę zalany, ale musi bez to, że na biel trafiło i deska w siebie smołę ciągnie, ale to nic, będzie dobrze. Zawsze kuźdy pozna, że to jest na ten przykład krzyż święty.

Za przysługę sąsiedzką jakiej doznał, Filip poprosił obu chłopów i Onufrego do karczmy, gdzie się do samego wieczora raczyli.

Nazajutrz przeniesiono nieboszczkę do kościoła, a trzeciego dnia, po mszy, orszak złożony z całej prawie ludności wioskowej, posunął się ku cmentarzowi. Przodem kroczył Onufry z krzyżem, dalej bractwo ze światłem, proboszcz staruszek w kapie żałobnej i organista. Czterej chłopci nieśli białą trumnę na ramionach, a za nią postępował Filip, dwoje dzieci i gromadka ludzi z odkrytymi głowami.

Dzień był szary, posępny, słońce ukryte za chmurami; na-

gie, odarte z liści drzewa posepnie szumiały na cmentarzu, z od-
dań dolatywało krakanie wron.

Dzwony jęczały żałobnie.

Postawiono trumnę nad grobem, ksiądz odśpiewał modliwy.

Zgrzytnęły sznury, twarde grudki ziemi z łoskotem ude-
rzyły o wieko trumienne, a potem wszyscy uczestnicy żałobnego
obchodu zaśpiewali razem „Witaj Królowo.“

Filip jęczał, dzieci płakały, a Onufry uwijał się, i szybko
zasypywał grób.

W kwadrans później cmentarz opustoszał; na jego białej
śniegiem przypruszonej powierzchni, złościła się świeża, z pias-
ku usypana mogiła.

I na nią padać zaczęły wkrótce płatki śniegu, układały
się na niej, łączyły ze sobą i niebawem ubieliły ją całkiem.

Ludzie gromadkami powracali ku wsi, a ściślej mówiąc
ku karczmi, boć to stacya, przy której we wszystkich ważniej-
szych momentach życia zatrzymać się trzeba.

Chrzciny, czy wesele, czy pogrzebowa stypa—do karczmy
ludzi wiejskich gromadzą, bo czy poweselić się, czy popłakać,
zawsze milej w kompanji, a gdzież jak nie tutaj owej kompa-
nji poszukać?

Mendel był na swoim stanowisku, jak zwykle czynny,
ruchliwy, patrzący na wszystko i słuchający wszystkiego....
Przybrał też i wyraz twarzy do okoliczności stosowny, mówił
mało, wzdychał... Filip usiadł za stołem, oparł głowę na rę-
kach — i jęczał. Onufry perswadował mu:

— Cichaj Filipie, cichaj na ten przykład, czego tedy
lamentujesz?

— Dobrze kobiecisko było.

— Dobrość od śmierci nie jest chroniąca, a nikt się od
niej nie jest mogący, na ten przykład, wywinąć. Cóż ty sobie
tedy dopuszczasz człowiecze, na ten przykład? Umarła, pocho-

wana jako chrześcijański obyczaj przykazuje i jako kościół święty żąda, a ty na ten przykład płaczesz!.. Ty płaczesz chłopie durny, że ci kobieta umarła?

— Juści płacę.

— To źle na ten przykład mój Filipku, mój braciszku, to źle! Twoja baba, świeć Panie nad jej duszą, dobra była, ale kto nie umiera? Kto nie umiera? powiedz ino. Mrą na ten przykład dziedzice, księża, kanoniki, mrą bogacze i wspaniałe ludzie—kuźdy mrze. Łońskiego roku komisarz umarł i musiał umierać, choć i komisarzem był.

Filip zaczął się gniewać.

— Ot dajcie mi spokój mój Onufry, rzekł, z waszego gadania mnie się kobieta nie wróci, waszem gadaniem ja chleba nie upiekę, ani szmat nie upiorę, ani dzieci sierotków nie ogarnę... Oj Magduś, moja Magduś!

Onufry groźnie brwi zmarszczył.

— A ty, na ten przykład, zbereźniku jeden! zawołał, to ty nie katolik jesteś?!

— Juści nie żyd, jeno katolik.

— Tedy skoroś na ten przykład katolik, to twoje psie prawo wiedzieć, że nieboszczka tedy albo we szczęśliwości wieku-stej się cieszy, albo za grzechy swoje w czyścju pokutuje, a ty jej przeszkodę chcesz robić!

— Jaką przeszkodę?

— Bo ją do chleba wołasz, żeby piec przyszła, do chustów, żeby prała! Nie wymów'na ten przykład w złą godzinę, bo prawdziwie przyjdzie...

— O!...

— Wiadomo że przyjdzie, albo to raz takie wywołane dusze chodziły po świecie i brząkały łańcuchami po cmentarzach...

W karczmie na wzmiankę o duchach, cicho się zrobiło, baba staruszka siedząca pod piecem odważyła się spytać:

— To i cóż on ma zrobić, choćby i Filip?

— Pacierz niech za nieboszczkę zmówi, a duszy zmarłej niech nie wywołuje, bo ona spokoju żądna.

Mendel do rozmowy się wtrącił.

— Dajcie pokój, panie Onufry, rzekł. Wy powiadacie takie słowo co nieprzyjemne jest... Kto umarł, to umarł, niech leży gdzie go pochowali, na co jemu chodzić? co on tu może mieć za interes?

— Widać że mają, skoro chodzą!

— Ja wiem że oni chodzą... Wy sobie nie myślcie, że my, starozakonne ludzie, nic nie wiemy. Oj, oj, żeby ja tyle zdrowia miał, co my wiemy! ale nie kuźde rzecz co człowiek wie, godzi się powiadać, a najbardziej o tych co nie żyją. Uni już nie należą do nas, uni mają inny świat. Ja wam co powiem: wy Onufry sprawiedliwie powiadacie co trzeba się do Pana Boga modlić, to prawda jest. Wy będziecie sobie jutro modlić — tymczasem wy potrzebujecie sobie napić gorzałki. Stare ludzie powiadali, że na frasunek dobry trunek — a ja wam powiadam, co kuźdy żal, zmartwienie, markotność — to jest nie żal, nie zmartwienie i nie markotność, tylko robak.

— Robak?!

— Na moje sumienie, robak! ja to wiem. Taki robak włązi do człowieka we środek i tam siedzi, a jak wam się zdaje, co on tam może robić w człowieku?

— Co ma robić? siedzi...

— Ja wam powiem, on wcale nie siedzi, bo on niespokojny jest, on się rucha!

— Co wy gadacie Mendlu?

— Na moje sumienie, on się rucha, ciągle się rucha! On ukąsi człowieka w serce, ukąsi w wątrobę! on przewróci w nim

wszystkich wnętrznościów, on lezie do głowe, psuje głowe, on cały rozbójnik jest! No panie Onufry, wy mądry człowiek, powiedzcie wy, czy to nie jest prawda...

— Tedy, na ten przykład, prawda.

— Niby jak? zapytał Łomignat.

— A według markotności, że ona je jak robak...

— Może i robak... kto człowieka przeniknie?

— Wierzcie mi, moje kochane ludzie—nasze żydy to wiedzą. Uni wszystko wiedzą. W naszym Filipie siedzi teraz robak, ale my jego zaraz wypędzimy. Ja mam na niego sposób!!

— Pewnie wódka.

— Aj! wódka! wiadomo że wódka, ale jaka wódka! Dwa chłopcy, to są dwa chłopcy, ale kuźdy inny. Jeden będzie Antek, drugi Wojtek. Tak samo i wódka. Jedna może być zwyczajna wódka, druga od robaka. Ja mam taką co od robaka jest. Ja jej nawet nie lubię sprzedawać, bo mnie samemu potrzebna, jak się broń Boże zmartwienie trafi, ale w takiej okazji muszę was żałować. Czekajcie no Filipie, ja zaraz przyniosę.

Mendel wyszedł do sąsiedniej izby i po chwili powrócił, niosąc wielki gąsior napełniony jakimś zielonkowatym płynem.

— Ho! ho! zawołał Onufry, to coś osobliwego — zielone na ten przykład!

— Sprawiedliwie że zielone, potwierdził Łomignat.

— Ny, uno takie być musi, bo i same zmartwienie zielone jest.

— A dlaczego zielone?

— Ny, od zółci... a skoro one zielone, to i lekarstwo też trzeba zielone.

— Patrzcie-że!

— Co wy myślicie? Stare doktory tak powiadają... Sprobuje no Filipie.

Nalał kieliszek i podał chłopu. Ten wypił, skrzywił się strasznie i splunął.

— A co? zawołał Mendel z tryumfem, czy wy kiedy mieli w gębie taki smak?! Aj waj, taki smak! a jaka to moc! Człowiek jak wypije, to myśli że jest piec i że w nim pół fury drzewa się pali...

— Rychtyk, na ten przykład, potwierdził Onufry, ale na mój rozum, to tu musi piolun być.

— Ja nie powiem co jest, odrzekł Mendel, bo to mój sekret, wielgi sekret, nie sprzedał bym go nawet za wielgie pieniądze. Tu jest różne ziele, różne lekarstwa, tu cała apteka jest!

— A jest, rzekł Łomignat, jest, bo nawet z niej taki duch idzie jak z apteki.

Lekarstwo Mendla poskutkowało. Filip przestał jęczyć i wdychać, a całe towarzystwo zyskało na ożywieniu. Jak w ulu gdy się pszczoły roić mają, słycać brzęczenie i huk, tak w karczynie stawało się gwarniej, coraz gwarniej. Wszyscy mówili na raz, a w tym gwarze pojedyncze głosy zacierają się i ginęły, a natomiast panował szmer głośny, coraz głośniejszy, szmer, którego pojedyncze wyrazy tylko bystre ucho Mendla łowić i rozróżniać zdołało.

Do karczmy zaczęły się schodzić kobiety, a trzeba im oddać tę sprawiedliwość, że nie próżnowały przez ten czas. Od chwili w której Łomignat przyrzynał pierwszą deskę dla Filipowej na trumnę, zajmowały się one gorliwie losem wdowca i szukały dla niego nowej towarzyszki życia.

Podobno we wszystkich sferach społecznych kobiety wielką mają do swatania słabość, to też i biednowolskie niewiasty wolne od niej nie były, a w tym razie, bardziej niż w każdym innym, miały powód do rozwinięcia całej swojej energii.

Filip był chłop w sile wieku, młody nawet, gospodarstwo

miał porządne, zabudowania dobre, kilka sztuk bydła, nie godziło się więc dopuścić, żeby z innej wsi kobieta takiego męża posiadała.

I Biednowola ma swój patryotyzm i swój system, a w takim zwłaszcza wypadku chętnie zaprowadziła by cło ochronne, przynajmniej po rublu w złocie od funta każdej „zagranicznej dziewki“ porywającej serce i chudobę biednowolskiego gentelmana.

Czasy w ogóle ciężkie, a ten kto się chce żenić, a raczej kto żenić się może, zawsze jest przez kobiety protegowany.

Odbyło się na poczekaniu kilka narad, zrobiono pospieszny przegląd wszystkich pańien i wdów w całej wsi, ale jak wszędzie, tak i w Biednowoli, trudno jest o jedność i zgodę, przeto powstały zaraz dwie kandydatury, dwa stronnictwa, dwie partye, usposobione względem siebie wrogo i groźnie.

Jedno stronnictwo, na czele którego stanęła Marcinowa, najkrzykliwsza baba w całej wsi, chciało wydać za Filipa Kaśkę Bąkównę, gospodarską córkę, przysadziłą, krępą,—drugie zaś, pod wodzą sołtysowej, protegować chciało wysoką, chudą wdowę po zmarłym przed rokiem gospodarzu Skowronku.

Filip rozmawiał w karczynie o cudownych skutkach Mendlowej mikstury, których właśnie na sobie doświadczał, gdy wbiegła Marcinowa i rozpychając chłopów energicznie łokciami, zawołała.

— A gdzieżeś ty mój Filipku! gdzieżeś ty mój chudziacuku, moja sieroto?

— A dyć siedzę.

— Któż tobie tera nieboraku chleba upiecze? Kto ci kościulinę upierze?

Chłop westchnął.

— Pomstujecie na nas, nie szanujecie kobietów, a jak któremu Pan Bóg babę zabierze, toć dopiero dudy w miech... Cóż ty teraz nieboraku z dziećmi poczniesz?



Chłop zwiesił głowę i milczał.

— Abo ja wiem!

— A kto ci przedziwo uprzedzie, kto ci płótna natka? Kto ci jeść nagotuje?

Chłop zwiesił głowę i milezał.

— Tera u ciebie ni komu krów wydoić, ni kartoffli naskrobać, ni, choćby na to mówiący, gadzinie jeść dać.

— Tedy na ten przykład, odezwał się Onufry, nie rozżalajcie chłopca Marcinowa, bo on i tak struty na amen...

— O! widzicie go! nie rozżalajcie! to niech Onufry idą mu krowy wydoić i niech mu Onufry jeść ugotują...

— He! tedy, na ten przykład, jakby wypadło, tobym ugotował, nie wielka mądrość na ten przykład.

— Ugotował by Onufry, ale by tego gotowania i psi nie chcieli powąchać. Widzicie go jaki mądral.

— Cicho, na ten przykład, kobieto!

— Juści cicho! Jak ja się nad nim nie uzalę, to kto się uzali?

— A cóż wam?

— Ja jego stryjna jestem, jego krewność—i bez to mu zginąć nie dam, jeno go poratuję! Nie tak jak wy.

— Jak kto?

— A choćby i jak Onufry. Jedną wy drogę znacie, którą do karczmy się chodzi.

— Aj waj, Marcinowa, pani Marcinowa, nie bądźta wy takie złe jak wilk.

— Nie wywołuj żydzie wilka z lasu, jeno siedź tam gdzie twoje psie prawo...

— Oj, oj! oj, oj! już ja się boję, już ja sobie złąkniałem! Patrzcie jak ja sobie trzęsę od strachu.

— Dajcie spokój, wtrącił Łómignat, cichajcie, po świętej zgodzie i po sprawiedliwości...

— I wy Macieju, nie macie co gadać, ofuknęła baba, wy

take przyjaciele! wyciągnęliście chłopca do karczmy, a w chałupie u niego dzieci same, a dobytku niema komu obrządzić. Oj, zmarniałbyś ty mój Filipku, zmarniał mój chudziaczku przy takich przyjaciółkach, poszedł by twój dobytek po letkości, jak listek po rzece, żebyś na starość chyba pod kościołem siadł i chleba prosił.

— Et, gadanie babskie.

— Gadanie! wiadomo że ludzkie gadanie, a nie pieskie scekanie, a ty tak się nie ostaniesz Filipku, bo wóz przez koła, a chłop przez kobiety, to tyła znaczy co grabie przez zębów. Upodobałeś też sobie kogo?

— Toć dopiero ze cmentarza idę.

— Aj banduro ty, banduro! I ciebie na cmentarz wyniosą nim ty kole siebie jaki obrót zrobisz a zdaje się chłop młody i do ludzi podobny... Ja już tobie wybrałam, zara jutro bierz flaszkę i chodź w załoty.

— Ja ta nie chcę.

— Ty będziesz gadał nie chcę, aż ci się dzieciska pomarnują, a krowy pozdychają!.. Nie bój się, zachce się tobie jutro, jak cię pocznie cknąć na wnątrzu i staniesz nad gołą miską, jak nieprzymierzając kuń nad pustym żłobem! Wtedy ci się zachce, będziesz po wsi chodził i najemniców szukał, albo do dworu gdzie pójdiesz, na służbę, dla wikt... No, Filipku, mówila dalej łagodniej już i spokojniej, nie frasuj się, jeno mnie słuchaj. Ja ci raję dziewczynę dobrą.

— Kogo wy jemu raicie? zapytał Mendel.

— Juścić nie żadną żydowicę, jeno gospodarską córkę i jak Bóg przykazał sprawiedliwą dziewczuchę! Nie pożałujesz Filipku, tak mi Boże we zdrowem skonaniu dopomóż.

Do karczmy niepostrzeżenie wsunęła się sołtysowa!

— No, to tedy dobrze—wtrącił Onufry—ale jakże się na ten przykład nazywa?

— Wam do tego nic jak się nazywa, macie swoją babę to jej pilnujcie.

— Tedy na ten przykład... gęba, bo gęba!

— To prawda jest — rzekł półgłosem Mendel — prawdziwy pytel.

Marcinowa nie zważała na tę przymówkę.

— Mówię tobie Filipku, jakom jest twoja krewniaczka, życząca prawdziwie, ty tę dziewczę bierz! Takiej drugiej na dziesiątej wai nie zdybiesz. Tęga dziewczucha, w sobie podufała, na gębie odpowiedzialna i czerwona a mocna! — ko-rzec żyta to ci machnie na plecy jak chłop. I gruntu będzie miała kawałek, bo jej ojciec odpisze i krowę.

— To ja wam powiem, kto to jest — rzekł Mendel.

— A kto?

— Ny, to jest Kaśka Bąkówna... może nie Bąkówna! niech Marcinowa powie.

— No — juści Bąkówna, co mam tać, zresztą tak czy siak zapowiedzie wyjdą i ludzie będą wiedzieli.

— To jeszcze niewiadomo — zawołała przepychając się ku stołowi soltysowa..

— Wiadomo! skoro ja powiadam, to wiadomo, a wam do tego nic.

— Może i nie nic.

— Ja jestem Filipa stryjna, krewna jestem!

— A juści! bo jego matka i wasza matka na jednym słońcu płótno bielily, takich krewności je na świecie dość.

— Co wam do czyich krewności, ja nie wytrząsam że u was cygan był w rodzie.

— Bo nie był!

— Właśnie że był!

— Cicho! cicho! zawołał Jankiel, moje kochane gospody-

nie, za co macie sobie klócić? Pani Marcinowa tyle już się nagadała, tyle mądrych słów powiedziała...

— Jakbyś wiedział.

— Ny, to też ja powiadam, co mądrych, przecie nie mówiłem inaczej.

— Bo ci zasie!

— Aj waj! aj waj, jaka wy gorąca kobieta!

— Ty mojej gorącości nie probuj, bo się oparzysz...

— Moja Marcinowa, dajcie mi skończyć.

— A to się powieś, kiej chcesz skończyć, ja nie bronię.

— Tfy! tfu! tfy! To jest gęba! Na moje sumienie, to pasakudna gęba dopiero, z niej leci sama siarka ze smołem... tfy! Marcinowa, czy wy słuchacie co ja do was gadam po dobrości?

— Słucham, jeno się nie rucham.

— No to ruchnijcie się, ja wam chce nalać kieliszek gorzałki, bardzo doskonały kieliszek. Wy tyle się nagadali, tyle naperswadowali temu chłopowi, że wam należy się kieliszek. Wam całkiem już w gardle zaschnęło.

Marcinowa nie mogła się oprzeć pokusie.

Przysunęła się do szynkwasu, za którym siedział Mendel i próbowała owego zielonego lekarstwa na robaka szarpiącego serce ludzkie. Antagonistka wój skorzystała z tej chwili i przysunęła się do Filipa.

— Wy jej nie słuchajcie, mówiła do niego, ona was na złe prowadzi. Znacie Kaškę. Dziewka, prawda, mocna jak chłop, ale zła jak pies, będzie się nad waszemi dziećmi znęcała. To jedza. Z Marcinową pasowałaby wam przy jednym dyszlu chodzić. Ja wam powiem Filipie.

Tu nachyliła się i szeptała długo chłopu na ucho. On głową kiwał, uśmiechał się bezmyślnie, to znowu wzdychał ciężko. Ludzie już się zabierali do domów, nawet Onufry, z całego tego zgromadzenia najwytrwalszy, przebąkiwał o powrocie.

Tymczasem sołtysowa prowadziła ciągle swe dzieło.

— Powiadam wam, mój Filipie kochany — mówiła — że z dziewczuchą to zawdy wam będzie gorzej, a nawet i nie pasuje. Kawalir, pustak, powinien szukać sobie dziewczuchy, wdowcowi zaś najpodobniej patrzy się wdowa. Ni ona wam, ni wy jej nie będziecie mieli czego wymawiać. Wy se gospodarz, ona gospodyni wypraktykowana w kuźdym sposobie. Wy macie swoich dwoje dzieci, ona też swoich dwoje. Ona waszym krzywdy nie uczyni, bo się będzie bojała, żeby wy jej dzieciom też nie czynili krzywdy.

— Juści to tak...

— Z kuźdej strony równość, wy nie młodziak i ona nie dzieciak, wy stateczne i ona stateczna.

— Jeno majątek nijaki... powiadają ludzie, że co po nieboszczyku ostało, to nie jej, jeno dziecinę.

— Co ludzi słuchać, zawdy gadają nie wiedzą co...

— Ale... jak ona za nieboszczyka Skowronka za mąż szła, to nie miała nic, a według tego jako gospodarstwo było jego, niby na to mówiący po ojcach, to tera znów dzieci mają do tego gospodarstwa przyjście, a ona się ostaje na boku.

— Ale!

— Ja wiem, bom słyszał, że według tego opiekuństwo w sądzie robili i jako jej nie wolno długu zrobić, ani sprzedać.

— To wy wiecie jedno, a ja drugie wiem, rzekła, kładąc palec na usta, ja wam powiem, jako ona ma pieniądze gotowe...

— Eh!

— Ma, sprawiedliwie ma, jeno nie powiada nikomu, według tego, jako się boi, żeby ją kto nie okradł.

Marcinowa zauważyła te szeptki.

— I cóż ci Filipku sołtyska naraiła?—spytała.

Chłop poskrobał się po czuprynie.

— A nic, powiadają jeno, że u wdowy chleb gotowy..

— Gotowy, ale nie zawdy zdrowy. To ci sołtyska w do-
wę rai?

— A juści.

— Skowronkową?

— Niby Skowronkową.

— Ha, przyda ci się ona, przyda.

— Co! zawołała sołtysowa, albo nie stateczna, nie porząd-
na kobieta, nie gospodyni?

Marcinowa wciąż powtarzała:

— Przyda ci się Filipku, przyda—żeń się z nią!

— Dopieroście o Bąkównie gadali...

— Ta wdowa lepsza, co prawda, to prawda.

— Dlaczego?

— Do gospodarstwa drugiej takiej nie zdybiesz, bo to i
długa i cienka jak żerdź i na kuźdy użytek może się przydać.
Możesz ją wsadzić na grzędę fasoli za tykę, albo w konopiach
na stracha postawić, albo na pawęż do wożenia siana obrócić,
albo nawet i kiele studni za żórawia postawić.

Wszyscy rozśmieli się—sołtysowa krzyknęła z oburzeniem:

— Co wy sobie będziecie uczciwą kobietą zęby wycierali,
strachem na wróble robili? Ja was tu zara nauczę jak trzeba
ludzi szanować.

To mówiąc przepychała się ku Marcinowej, chcąc zaraz
w czyn pogrózkę wprowadzić.

Mendel zapobiegł starciu.

— Aj waj! aj waj! gwałt co to jest? Takie dwie gospody-
nie, takie osoby, takie stateczne kobiety, żeby sobie kłóciły, że-
by chciały robić awanturę. Na moje sumienie nie pasuje! O co
wam idzie? O chłopca?

— O co idzie, to idzie—a ona niech nie ujada.

— Aj waj! aj waj! to jest cała kimedya. Chłop sobie sie-
dzi i słucha. Pani Marcinowa powiedziała jemu w jedno ucho,



— O co wam idzie? O chłopac

pani sołtysowa w drugie ucho. On ma teraz pełną głowę tego gadania. Dajcie jemu trochę czasu, niech on sobie odpocznie, niech sobie rozmyśli. Wam się zdaje, że chłopowi ożenić się, to tak, jak obwarzanek za grosz kupić, albo ćwiartkę owsa sprzedać! Taki interes potrzebuje namyslenia.

— Święta prawda—zawtórował Onufry. Święty stan małżeński jest jako pieczęć, która przypieczętowana na ten przykład na niewiaście i na ten przykład na chłopie, nie będzie ukruszona, ani złamana do samej śmierci, amen.

— Tak, tak. Jak to znać że Onufry uczony człowiek jest...

— I nie będzie rozerwania nijakiego, ani folgi, ani popuszczenia, że choćbyś się z samym dyabłem nieprzymierzając Filipku ożenił, tedy cię już żadna moc nie odzieni, jeno co motyka i rydel, na ten przykład. Tedy nie trzeba w zapamiętałości i przez rozważenia lecieć w ogień, tylko trza karkulować i suszyć dobrze głowę, na ten oto przykład, bo nie na godzinę to jest, ani na dzień, ani rok, jeno na tyle, ile sam Pan Bóg miłosierny wskaże i przeznaczy.

— Ny, ślicznie Onufry gada, bardzo ślicznie, znać że w sobie robaka całkiem struł. Na moje sumienie. Pani sołtysowa niech da spokój i pani Marcinowa też niech da spokój. Ostawcie cały ten kram do jutra do południa. Filip potrzebuje pomyslenia. On w nocy będzie myślał, on rano jak pójdzie bydlu zadawać będzie myślał, on po śniadaniu siądzie w chałupie na ławie, pod piecem, on sobie fajkę zapali—i będzie myślał. Myślenie to ciężka robota jest, trzeba żeby do niej był spokój i wygodna. Jak on się już dobrze namysli, to wtedy jego zapytajcie, a dziś, co on ma dziś wiedzieć? On tyle wie dzisiaj co i nic. Prawda Filipie?

— Juści prawda. Mnie dziś mankulja trapi i markotność,

a we łbie mi huczy jak we młynie przed gody. Chodźta Macieju, chodźta kumie Janie, czas już.

Łomignat z ciężkością dźwignął się z ławy i poszli.

Dość długo jeszcze w karczmie panował gwar i hałas. Mendel obrachowywał się z gośćmi, przyczem nie obyło się bez sprzeczek i nieporozumień. Onufry nazwał go szachrajem i ciężką pięścią wyrządził mu obelgę czynną na karku.

Miała być z tego powodu sprawa w sądzie gminnym, ale że u dojrzałych i poważnych mężów rozum zwykle bierze górę nad namiętnością, więc porozumienie nastąpiło rychło i zgodę zapieczętowano całym garncem wódki dla świadków ubliżającego czynu, który postanowiono w falach zapomnienia utopić...

Filip nazajutrz po pogrzebie żony powziął decyzję stanowczą.

Ku wielkiemu zmartwieniu sołtysowej, udał się do starego Bąka i wyznał swoje afekta dla Kaśki. Przyjęto go z otwartymi rękami, a panna, trochę wstydząc się, trochę śmiejąc, a trochę popłakując, dla polityki, powiedziała, że co tatulo i matula każą, to zrobi.

Wyszły zapowiedzie, odbył się ślub, a potem wesele jak się należy, z poczęstunkiem, z poprawinami, jak jest przyjęte na świecie. Dwie mowy były na tem weselu; jedną miał Onufry, drugą kowal, ale gdzie Onufremu do kowala! Jak powiedział, to każde słowo jakby młotem wykuł, a ludziska płakali jak na pogrzebie.

Mendel zarobił dobrze na tym interesie, bo stary Bąk chłop był zamożny i szczerzy. Mało kiedy lubił worek rozwiązać, ale gdy już rozwiązał, to sypnął pieniędzmi po pańsku. Dość powiedzieć, że i kawa z arakiem była na weselu.

Po tej uroczystości życie Biednowolskie popłynęło zwykłym trybem. W stodółach rozlegał się stuk cepów, a kiedy pierwszy skowronek zadzwonił nad polami, kiedy wiosenne

słonko przygrzewać poczęło, zaroilo się w wiosce jak w mrowisku. Z sochami, z gnojem, z bronami ruszył naród w pole, na kawałek chleba pracować.

Bąkówna, za wdowca poszedłszy, ujawniła duże dyplomatyczne zdolności.

Co tydzień regularnie sama sierotki myła i czesała, a od czasu do czasu, przy święcie, prowadziła je na cmentarz, aby pacierz na grobie matki zmówiły. Filip widział to, nie mówił nic, ale czuł dla żony wdzięczność wielką i ani wiedział, jak i kiedy wpływom jej się poddawał; a że baba była pracowita, obrotna, porządna, więc z czasem nic bez jej woli nie przedsięwziął!

Czyż dużo potrzeba aby chłopą zawojować? Nietylko w Biednowoli, ale wszędzie podobno, zręczna kobieta potrafi tej sztuki dokazać!

VII.

Jest noc.

Biednowola całkiem utonęła w ciemnościach. Niemasz na niebie ani srebrnej tarczy księżyca, ani gwiazd mrugających figlarnie. Ukryły się one po za ciężkimi chmurami.

Drobny, zimny deszczyk, pada już od dwóch dni ciągle, bezustanku; psa nawet trudno na dwór wygonić.

Wszędzie ciemno, ani w jednej chacie światła nie widać, tylko w oknie karczmy migoce blask jakiś, czerwony, jakby od płomyka dogasającej lojówki.

Zapewne Mendel, czytając księgę nabożną usnął, a świeczka migotała wytrwale nad szeregi liter hebrajskich i nad aksamitną czapką pokrywającą głowę uczonego męża.

Istotnie, sam Mendel opowiadał nazajutrz, że o Bożym świecie nie wiedział, że zmęczony całodzienną pracą, szukał odetchnienia w nabożnem czytaniu, że go przy tej czynności

sen zmorzył i że wreszcie niewiadomo kiedy i jak całkowita świeca, zupełnie nieużywana świeca, za trzy grosze! wypaliła się napróżno.

Człowiek nie może przewidzieć każdej klęski i straty materialnej.

Sam Mendel tak opowiadał.

Może kto zapytać: dla czego tak opowiadał? Ano opowiadał, a skoro opowiadał, to musiała być w tem jakaś przyczyna.

Najprzód Mendel w ogóle opowiadać lubił i jak chciał, to najpospolitszym przygodom nawet umiał nadać charakter nadzwyczajności, a powtóre... powtóre, dziś taki świat brzydki, taki paskudny, że zawsze lepiej opowiadać swoje przygody aniżeli o nich milczeć.

Weźmy choćby na przykład historję wypalonej świeczki za trzy grosze.

Mendel opowiadał o niej, Mendel ją opłakał, Mendel przeklął po siedmkroć swoje ospalstwo, a zatem ludzie wiedzieli, że Mendel miał taki paskudny przypadek. Wiedzieli, że o godzinie ósmej, może dziewiętej wieczorem, siadł przy swoim czerwonym stoliku i że, tak zasnawszy, przesiedział do chwili, w której się zrobił wielki krzyk, gwałt i lament.

Bogu dzięki, są przecież na to świadki, a w tym niegodziwym czasie, porządny człowiek bez świadków nie może się obywać.

Znowu będzie pytanie: dla czego zrobił się krzyk?

Idźmy porządkiem.

Piszmy kronikę biednowolską poważnie, niedając się unosić żadnym osobistym sympatyom, lub też antypatyom.

Tak czynić winien każdy szanujący się kronikarz.

W myśl tej zasady, należy coś powiedzieć o dwóch tęgich

pałkach dębowych, stanowiących cząstkę mienia obywateli biednowolskich.

Rzeczone pałki, mające ściśle oficjalny charakter, były jak na laski za grube, a jak na kłonicie — za długie. Tworzyły one coś pośredniego pomiędzy tęgim kołkiem z płota, a hoblą od wozu. Każda zaś z nich, miała na jednym końcu, w miejscu oskrobanem z kory, pieczęć lakową wójta gminy Biednowola.

Te pałki dębowe odbywały codzienną po wsi wędrowkę, posuwając się o odległość jednej chałupy na dobę.

Pałka A. rozpoczynała swą kolej od wschodu, to jest od pierwszej chaty z brzegu, pałka B. od zachodu; w środku wsi mijaly się z sobą. Gdy rano taką pałkę przyniesiono do chałupy, to miało znaczyć, że właściciel chałupy, jego syn, lub parobek ma z nadejściem nocy przywdziać ciepły kożuch i, uzbroiwszy się w pałkę, wyjść na ulicę i czuwać całą noc nad mieniem i życiem swoich współobywateli.

Tym sposobem Biednowola zostawała pod strażą dwóch ludzi i dwóch pałek, opatrzonych pieczęciami. Jeżeli dodamy do tego, że nad każdą chałupą oddzielnie czuwał kudłaty kundel, Burek, Łysek, lub Kruczek, to przyjdziemy łatwo do wniosku, że obywatel biednowolski mógł spać spokojnie, w tem miłym przeświadczeniu, że jeżeli mu nikt w nocy bydłęcia nie ukradnie, to rano znajdzie je stojące spokojnie przy żłobie.

Podczas tej nocy ciemnej, kiedy chmury zakryły księżyc i gwiazdy, a Mendlowi wypaliła się napróżno całkowita świeczka za trzy grosze, Tomasz Szczygieł, jeden z bogatszych chłopów biednowolskich, miał przykry sen.

Snily mu się jakieś osobliwsze ognie, pożary, światła, i takim nabawiały go strachem, że aż się nieborak z przerażenia obudził.

Jako nabożny chrześcijanin, wiedział on i wierzył w to,

że „sen mara, Bóg wiara“, przeżegnał się więc i postanowi spać dalej, ale znowuż z drugiej strony słyszał, iż w „Senniku Egipskim“ stoi wyraźnie, jak wół, że ogień znaczy złodzieja.

Ta myśl przejęła go trwogą.

Wstał, zarzucił kożuch na ramiona i, wyszedłszy przed chałupę, zaczął naświstywać i wołać:

— Łysek! Łysek! gdzie ty się, psia duszo, podziałeś? Deszczu się boisz darmożjadzie... Marności pies, tyłoby chleb jadł i kiele pieca leżał!

Widząc, że ta perora nie może psa z ukrycia wywabić, Szczygieł poszedł ku zabudowaniom; zaledwie jednak zrobił kilka kroków, potknął się i upadł w błoto.

Ogarnęło go najwyższe przerażenie. Obmacawszy ów przedmiot rękami, chłop poznał w nim swego wiernego Łyska. Biedny pies zdechł, widocznie przed chwilą, bo jeszcze ciepły był.

— Jezusie Nazareński! ryknął Tomasz i pobiegł co żywo ku stajence.

Pchnął drzwi—były otwarte, pomimo sztucznego zamku.

Miły Boże! taki zamek! cały dębowy, drutem się otwierał —a taki sztuczny, że sam Tomasz, bywało, nieraz z pięć pa-cierzy kręci zanim go otworzy.

I ten nie przeszkodził złodziejom!

Ale chłop nie wierzy jeszcze swojemu nieszczęściu, woli wierzyć, że pies zdechł naturalną śmiercią, że stajnia z wieczora niezamknięta była.

Wchodzi na próg i słucha.

Cicho jak w grobie, a zwykle prawie przez całą noc konie chrupały siano.

Może położyły się, bo nawet łysa kobyła miała taką naturę, że aby do stajni, to zaraz lubiła się kłaść, a i kasztan, wprawdzie nie tyle, ale czasem także się wyciągał.

Zęby chłopu dzwonią z przerażenia.

Schyła się, maca po słomie, szuka po kątach, jakby koń był szpilką, mogącą zawieruszyć się w słomie.

Niema!!

Biegnie do chułupy, wali pięścią w okno:

— Magda! — woła na całe gardło, — Magda! Jasiek! Michałek! wstawajta duchem — konie ukradli!

W chacie wnet błyska światło. Magda płacze... Michałek dopadł do stajni i wrzeszczy, jakby go kto ze skóry obdzierał, starszy i rozważniejszy Jasiek schyla się i śladów po ziemi szuka.

Ale znajdź-że ślad na taką ciemną noc. Chyba od kota oczów pożyczyc.

Tomasz tymczasem budzi sąsiada.

— Kumie! kumie! — woła — ady wstawajta, ktoś mi kunie ukradł.

Sąsiad zrywa się.

— Olaboga, kumie? — i nie wiecie kto?

— Boże miłosierny, toć dopierom się ocknął.

— Nic jenszego, mój kumie, jeno to złodzieje zrobili... Już ja se wczoraj miarkowałem, że coś będzie, bo jakiś obcy bez wieś jechał, a takie świdrowate ślepie miał jak wilk... Musi to nie czyja sprawka jeno jego.

— Aj kumie! kumie! — błaga pod oknem Tomasz — możebyśmy jeszcze dogonili, możebyśmy choć jaki ślad zdybali, ja na piechtę nie dogonię, może wy na swego kunia wsiądziecie... Ratujta po somszedzku, mój kumieku! mój kumciu!..

— Toć wiadomo, juści poratować się godzi.

— Już ja wam odśluzę, wynagrodzę wam mój kumie.

— Wiadomo. Idźta ze duchem jeszcze po somsiadach, bo zawdy w kupie raźniej, ja się jeno odzieję... a chłopaków swoich pchnijta do sołtysa, do strażnika...

— Widzi mi się, że strażnika niema we wsi.

— Niema?

— Na obychód miał iść... ale posłę, duchem posłę.

— To zwijajta się, bo złodzieje ostro jadą... jeszcze na takich kuniach jak wasze...

— Aj kunie! kunie! jęczał zrozpaczony Tomasz, biegnąc do chaty z powrotem.

W kwandrans później już cała wieś była na nogach.

We wszystkich okienkach błysnęły światła, sołtys z latarnią wyszedł na ulicę.

Ostatni przebudzili się stróże z urzędowemi pałkami. Deszcz ich moczył, więc schowali się do budy, a że tam znaleźli garść słomy przegniłej, tedy rzucili się na nią i zasnęli twardo.

Zasnęli, bo z wieczora Mendel poczęstował ich doskonałą gorzałką, a przytem, wiadoma rzecz, że na taki deszczyk kapuśniaczek, to człowiek bywa śpiący jak mucha jesienna.

Obadwaj stróże, młode chłopaki, Bartek i Ignac, podążyli na miejsce wypadku.

Sołtys przy świetle latarni oglądał trupa Łyska.

— To je pies otruty, rzekł z powagą.

— Juści otruty — potwierdziła Tomaszowa, płacząc rzewnie — jeszcze przed wieczorem kartofli mu dałam i chleba i powiadam do niego: idź Łysek, pilnuj Łysek... a on mądry taki był, że kaździuchne słowo ludzkie zrozumiał — i oto otruli go złodzieje.

Sołtys ostro na wartowników spojrział.

— A wy, sielmy jedne, gdzie byli?

— Na warcie byliśwa.

— Spaliśta gałgany!

— Jeno nie pomstujcie! My z Bartkiem stojeli kiele mostu, a toć wiadomo gdzie most, a gdzie Tomaszowa stajnia.



— A wy, sielmy jedne, gdzie byli?

— Nie słyszeliście nic?

— Gdzie zaś? Cośmy mieli słyszeć!

— I nie widzieliśmy, dodał drugi, ciemność choć ślepie wykol...

— Toć psy musiały ujadać.

— Ale! ta się psu akurat chce ujadać na taką słotę!.. Człowiek musi iść na wartę, bo jak nie, to karę zapłaci — a psu co!? Na niego wójta niema!

— Hm, hm, mruczał chłop, musiał to taki ktoś być, co kuźdy kącik zna.

— I akuratnie do Tomaszowych koni przyszedł!...

— Bo wiedział, że najlepsze.

-- Toć mi za łysą kobyłę na święty Jan sto trzydzieści rubli dawali, rzekł na wpół z płaczem Tomasz.

Sołtys wciąż latarnią przyświecał.

— Obaczcie no — mówił — któredy wyprowadzili.

— O! o! za stajnię ślady idą, zawołał Jasiak.

— Prawdziwie. Patrzcie-no, przez ogrody poszli, całe przeszło płota rozgrodzili.

— Bodaj pomarnieli, bodaj im ręce, nogi połamało za moją chudobę kochaną! - krzyczała Tomaszowa.

— O, patrzta-no ludzie, ślady są wyraźne, po zagonach jechali.

— Musi zara z płota wierzchem siedli, bo tylko końskie kopyta znać.

— Przez rzekę prześli — zawołał Jasiak.

— To i koniec... tera-by trza oblecieć do koła, bez most, to dalszy ślad zdybie.

— Po co? tu bród jest...

— Ale, bród?! Głupi ci kto, na taki ziąb i jeszcze po nocy, przez bród łązić!

— Dajcie no sołtysie lantarnię! zawołał rezolutnie Jasiak
— ja pójdę.

— Bez wodę?!

— A jeno.

— E, nie chódź głupi—rzekł Tomasz na taki ziąb.

— Bajki tatulu, mnie nic nie będzie, ja zwyczajny, a
wam przez kuni je bieda.

— Oj nie chodź, nie chodź Jasiu—mówiła Tomaszowa—
lepiej ano obleć duchem bez most.

— E, co tam—zawołał Jasiak—biorąc z rąk sołtysa lantar-
nię—co się mam boić? Bród znam, wody mało gdzie wyżej jak
za kolano, we środę tędy na kasztanie przejeżdżałem.

To mówiąc, chłopak wszedł w rzekę.

Istotnie wody nie miał wyżej jak do kolan.

Gromadka ludzi z ciekawością i niepokojem pewnym pa-
trzyła na śmiałego chłopca. Światło latarki odbijało się w ru-
chliwej fali, niezbyt wprawdzie szerokiej, ale bystrej rzezułki.

— Jasiak, bierz się na prawo! krzyknął Tomasz.

— Na prawol na prawol wołał sołtys.

— Nie bałamućta ano—odpowiedział Jasiak—woda i tak
zwodząca, a jeszcze przy lantarni tak się mieni...

— Na prawol na prawol!

— Już ja wiem, nie bój się...

Nie dokończył. Dał się słyszeć głośny plusk, latarnia
zgasała i nagle nieprzejrzana ciemność zaległa.

Stojący nad brzegiem ludzie oniemieli z przestachu.

— Jasiu! Jasiu! krzyknęła z rozpaczą Tomaszowa.

Na rzece dało się słyszeć głośne sapanie i plusk wody.

Widocznie Jasiak pasował się z falą.

— Jasiu! Jasiu! dziecko moje... o ja nieszczęśliwa!

— Nie bójta się matulu nic—odezwał się Jasiak tuż przy

brzegu—mnie nic, jeno sołtysowej lantarni szkoda. Musiałem ją puścić, a piękny statek.

— Aby skorós ty wylazł, to z lantarnią później — rzekł sołtys.

— Gdzieś ty wpadł?

— W dół jakiś—rzekł Jasiek, na brzeg wychodząc—Ociec krzyceli na prawo, a na wodzie bałamutno przy świetle, ja się bojałem na prawo, bo wiem że tam dół, ale ociec znów krzyknęli na prawo! Ja się zląkłem, myślę że i prawda. Stąpiłem na prawo i zara ze łbem, a lantarnia zgasała. Woda mnie pchnęła, wypłynąłem. Płynę, słyszę matula krzyca, a ja mam pełną gębę wody. Dopierom wyplunął i odezwałem się, ale lantarnia przepadła, a mnie zęby dzwonią, jakbym frybrę miał.

— Chodź że, chodź Jasiu, do chałupy, chodź, ogień się pali, ogrzej się, mówiła matka: zara ci obleczenie jensze dam.

— Bajki matulu, aby obleczenie suche...

— Słuchajcie no Tomaszu — rzekł sołtys — może macie kapkę wódki w chałupie, to chłopcu dajcie, żeby go, na to mówiący, we frybrę nie wrzuciło, a mnie za lantarnię będziecie winni złoty i groszy sześć. Według woli waszej i ochoty, albo mi pieniędzami oddacie, albo mi dycht taką lantarnię na jarmarku kupicie.

— Oddam wam, oddam.

— Żeby się był, na to mówiący, wasz Jaśko utopił, to-bym się o lantarnię nie dopominał, ale skoro z łaski Boga miłosiernego chłopakowi nic, to i mnie porządnego statku szkoda — a po prawdzie nie tak szkoda jak niewygoda, bo ja w nocy, przez lantarni ślepy, a przy moim urządzie nieraz trza wstać choćby i o północek.

— Kupię ja wam jeszcze porządniejszą lantarnię i choćby i dwie nawet, jeno ratujcie, mój sąsiedzie, żeby ja swoje koniska mógł znaleźć.

— Albo ja wiem...

— Żeby posłać ludzi, uprosić... bo i ja głowy już nie mam.

— Wiadomo, przy takim wójcie jak nasz, to niedługo złodzieje będą z pod śpiących ludzi łózka kradli. Ja to zawdy gadałem, że jemu podobniej babą być niżli wójtem.

— Radźcie, radźcie, mój Józefie kochany, toć wy sołtys.

— Dyć sołtys... to prawda,

— Ratujcie!

— Hej wy, warta! spiochy jedne! zawołał sołtys, biegać mi zara do Mendla.

— A po co my tam?

— Weźcie od niego lantarni i duchem lećcie bez most za rzekę, żeby śladów szukać. Ino się zwijajcie, bo za dzisiejsze spanie to tak możecie w kozie siedzieć jak amen w pacierzu!

— My nie spali.

— No, no... tera nie czas na gadanie,... Mars... i skutek.

— Wy zaś Tomaszu — prawil dalej sołtys — chodźta ze mną na wieś.

— Niby...

— Juści na wieś. Zara poprosimy gospodarzy, to pojedą. Po niejakiem czasie kilkunastu chłopów, gromadkami po kilku, rozjechało się po różnych drogach, w pogoni za wiatrem w polu.

— Wartoby i Mendla przepytać—rzekł sołtys.

— Czy sobie co miarkujecie na niego?

— Nie miarkuję ja nic, ale zawdy taki to może co wiedzieć.

— Wiadomo, zwyczajnie jako żyd.

— Pójdziem.

— W karczmie znajdowało się już kilku ludzi.

Wiadomość o skradzeniu koni Tomasza odebrała im sen, ciekawi byli szczegółów, a gdzież o nie łatwiej, aniżeli w karczmie?

Mendel, ujrzawszy sołtysa z poszkodowanym, nie czekał aż badać go zacząną.

— Oj wuj! oj wuj! zawołał, takie nieszczęście! takie wielkie nieszczęście, teraz na każdego strach. Kto teraz będzie mógł spać? Ja sam się boję o moją kobylę. Ja nie wiem na jaki zamek ją zamykać.

— Czy kto obcy tu w karczmie nie był? spytał sołtys.

— Byli obce... zaraz, czekajcie, niech ja sobie przypominę. Od tego przestraszenia ja już całkiem pamięć straciłem. Byli, byli, nawet wam powiem, kto wczoraj przed wieczorem przejeżdżał.

— Ano kto?

— Zara... Doktor jechał od chorego z Wąsacza... dziedziec z Zabrodzia jechał... Kanonik z Młynkowa także sobie jechał, sędzia jechał, wszystkie jechali.

— Jechali... Co Mendel powiada że jechali... Juści doktor, ani kanonik nie jeździli koni krasć...

— Albo ja wiem?.. wy się pytacie kto jechał, to ja wam powiadam kto jechał...

— Już ty wiesz, o jakich obcych ja pytam.

— Ej, panie sołtysie—rzekł Mendel—nic mówcie tak, wy wiecie że ja nic nie wiem. Wy się mnie nie przyczepcie, ja was proszę.

— Pytać wolno... Przecie wyście całą noc byli w domu.

— Ma się rozumieć, że byłem. Nawet miałem takie zdarczenie, co chciałem się pomodlić na książce i usnąłem.

— To i cóż to za zdarzenie wielgie?

— Oj oj, całkiem paskudne zdarzenie. Świeca mi się wypaliła za darmo.

Chłop Mendlowi bystro w oczy spojrzął.

— A gdzieżeś-to Mendlu tak sobie buty powalał.

— Buty?

— Ano buty.

— Ny, jak ja usłyszałem we wsi taki lament, taki gwałt, to wyleciałem przed karczmę, a przed karczmą, to jest błoto, bo deszcz już ze dwa dni pada. To jest cała przyczyna.

— Ale zaś! przed karczmą jest błoto — i ja wiem o tem że jest, ale błoto czarne — a na waszych butach glina...

— Mój sołtysie, ja was bardzo proszę, co wam do moich butów? Jest glina, niech sobie będzie glina. Gdzie to jest napisane w kodeksie, że mnie nie wolno mieć trochę gliny na butach?

Chłop milczał i coś sobie w myśli kombinował. Mendel domyślał się podejrzeń i postanowił odrazu wszelkie kombinacje zniweczyć.

— Słuchajcie no panie sołtysie rzekł, panie Józefie, ja wam co powiem.

— A co?

— Rozum to jest dobra rzecz, ale bardzo zdradna. On jest taki jak nóż, można nim kogo skaleczyć, a można i siebie samego też skaleczyć.

— Do czego to Mendel powiada?

— Całkiem do niczego, tak sobie. Ja lubię czasem tak sobie piękne słowo powiedzieć. Ja mam dużo w głowie różnych interesów. Chłopy skarżą się co w karczmie zimno jest, ja potrzebuję komin naprawić, piec wylepić. Glinę już mam, jest w sieni, jutro Jacentowa zacznie lepić. Nawet jeżelibyście wychodzili do sieni, to bądźcie ostrożni, bo tam kupa gliny jest, moglibyście sobie przewrócić.

Chłop już więcej nie wspominał o glinie.

— Nieszczęście moje! westchnął Tomasz — żeby choć złapali złodziei.

— A czy pojechał kto gonić? spytał Mendel.

— Toć pojechali gospodarze. Pojechali dobre ludzie, sąsiady.

— I po co oni pojechali?

— Wiadomo—złodziei gonić.

— Jak oni będą ich gonić?

— Jedni tą drogą, drudzy inną, może dogonią.

— Nie wiem — te złodzieje mają także swoje sposoby
Kto wam powiedział, że oni będą uciekali drogą?

— A jak?

— Może właśnie polem albo lasem. Jak przeszłego roku tu niedaleko we dworze konie ukradli...

— Na jesieni?

— Właśnie na jesieni. Jak ukradli, dziedzic też kazał gonić. Fornale porozjeżdżali się, aj! waj o dziesięć mil... i co znaleźli? — koni na dzisiejszy dzień nie ma.

— Może moje znajdą.

— Ja wam życzę, ja wam bardzo życzę, mój Tomaszu — ale ja wam co powiem, napijcie wy sobie wódki.

— Nie mam chęci.

— O co chodzi? Ja funduję i soltys napije się z nami, przy takim zmartwieniu to właśnie sposób jest.

Napili się wódki raz i drugi, soltys podniósł się z ławy.

— Pójdę ja do chałupy, rzekł. Jeszcze się krzynekę prześpię, a was mój Tomaszu niech Pan Bóg miłosierny pocieszy, żebyście jeszcze na tym świecie swojego kasztana i swoją łysą kobyłę we zdrowiu oglądali.

— Bóg zapłać za dobre słowo.

— A ja pójdę.

— To chyba i ja z wami. Obaczę czy Jaskowi woda nie zaszkodziła.

Mendel za rękaw Tomasza pociągnął i mrugnął na niego znacząco.

— Albo — rzekł Tomasz, widząc te znaki — idźcie wy sami Józefie. Ja tu jeszcze trochę posiedzę, może który wróci, może kto przejeżdżać będzie, to się zapytam, czy nie spotkał złodziei.

— Ha! jak wola wasza — zostaniecie.

Po odejściu sołtysa i owych chłopów, Mendel Tomasza do swej stancyjki zaprosił.

— Słuchajcie — rzekł — Tomaszu, wy porządny gospodarz, wy obywatel, wy osoba, mnie was żal.

Chłop westchnął.

— Powiedźcie Tomaszu, wiele wasze kunie byli warte?

— Najbardziej ze dwieście pięćdziesiąt rubli.

— Ładna suma, na moje sumienie, ładna suma. Oj, że bym ja to miał w swoim majątku!

— To też właśnie żal... kuźdego bydłęcia żal, a dopieroż...

— Ja wam co powiem. Chcecie wy swoje kunie znaleźć?

— Ty co wiesz?! zawołał chłop, zrywając się z miejsc!

— Co wiesz? co to jest wiesz? Wy czysty warjat jesteście! ja się pytam, czy macie chęć swoje kunie odzyskać — a wy robicie awanturę, wy robicie krzyk. Czy ja was proszę o krzyk!

— No jakże?

— Jeśli chcecie, że bym ja z wami gadał, to siedźcie całkiem cicho, jak jeno krzykniecie, to ja zamykam gębę na cztery zamki i nie powiem ani jedno słowo.

— A ja was do sądu...

— Podajcie do sądu... ja wam nie bronię. Ja waszych kuni nie ukradł, ja o waszych kuniach nic nie wiem; a za posądzenie, za potwarz, to wy będziecie ładnie wyglądali...

— To cóż chcecie?

— Ja już nic nie chcę. Macie ochotę podawać do sądu — podajcie.

— Mendlu!

— Chcecie ze mną po dobrości? to ja będę miał miłosierdzie nad wami.

— Wy wiecie gdzie moje kunie...

— Ja?

— Wy, wy wiecie.

— Co na to zrobić jak kto głupi jest?! Ja wcale nie wiem gdzie są wasze kunie.

— To jakże mnie poratujecie?

— Mam sposób. Dobry, pewny sposób. Wiele wasze kunie byli warte?

— Dwieście pięćdziesiąt rubli.

Mendel zaczął bębnić palcami po stole.

— Dwieście pięćdziesiąt rubli, to jest całkiem ładny grosz, słuchajcie-no Tomaszu.

— Dyc słucham.

— Wy mnie potrzebujecie dać dziesięć rubli.

— Za co?

— Za to, co wam powiem takie słowo, co jest więcej warto.

— O...

— Powiem wam takie słowo, taki sekret, taki sposób, że wy już na drugi, na trzeci dzień, będziecie mieli swoje kunie w stajni.

Chłop zerwał się ze stołka, oczy mu się zaiskrzyły, ręce przed siebie wyciągnął, jakby chciał Mendla za gardło pochwycić, ale ten szybko odskoczył i rzekł:

— Oj Tomaszu, Tomaszu! jakie wy głupie jesteście. Na

moje sumienie, takiego głupiego chłopca, to ja jeszcze na swoje oczy nie widziałem.

— Stulisz ty gębę!

— Nie prosicie wy mnie o to, ale sami lepiej dużo nie gadajcie, bo z takiego gadania mały pożytek jest, a czasem bywa nawet, broń Boże, nieszczęście.

— Jakie nieszczęście?

— Albo ja wiem, na świecie różne przytrafunki bywają. Ja sam chłopca jednego znałem, w innej wsi, porządny gospodarz był, bogaty nawet, tylko miał ten feler, że nie lubił trzymać język za zębami. Dużo gadał, on ciągle gadał. Co wiedział to gadał i co nie wiedział też gadał, przez to on zmarował się.

— Jak?

— Nieszczęście miał, ogień. Chałupa, stodoła, obora, wszystko mu się spaliło na szczęt, ledwie w jednej koszuli wyszedł z dziećmi swojemi i z żoną.

Tomasza zimno przeszło.

— Spalił się—rzekł, jakby sam do siebie.

— No, patrzcie sami, takie nieszczęście! Było śledztwo, cała komisya była, chcieli się dowiedzieć, skąd taki przypadek paskudny się stał, i nie dowiedzieli się nic, tylko ludzie między sobą gadali, że ten ogień wyszedł z języka, z długiego języka. Co ludzie powiadają to prawda jest, i ja wam radzę, Tomaszu, jeśli chcecie spokojnie na świecie żyć i nieszczęścia nie znać, to siedźcie cicho i w duże gadanie nie wdajcie się. Ja wam powiadam, co gadanie to nie jest gospodarski interes.

Chłop usiadł napowrót przy stoliku, głowę na rękach oparł i zadumał się. Mendel, po izbie chodząc, przyspiewywał sobie półgłosem. Za piecem odzywały się świerszcze, a wiatr silny huczał na dworze.

Po chwili Mendel odezwał się:

— Ny, Tomaszu, po co wy tu siedzicie? Jeżeli chcecie swoje kunie łapać, złodziejów gonić, to gońcie zaraz, bo szkoda czasu, a jeżeli chcecie się Mendla posłuchać, to też trzeba słuchać zaraz, i to, co ja wam każę, zrobić zaraz, bo później też może być zapóźno.

Chłop poskrobał się w głowę.

— Cóż mam robić? zapytał.

— Jak wasza wola... albo gońcie po świecie złodziejów, albo posłuchajcie mego sposobu.

— A jakież to wasz sposób?

— Mój sposób! na sumienie, to jest bardzo tani sposób wy mnie potrzebujecie dać za niego dziesięć rubli. Dacie mnie za niego dziesięć rubli?

— Żebym wiedział, że kunie znajdę, tobym może i dał.

— Znajdziecie?! Co to jest znajdziecie? albo ja wiem gdzie wasze kunie są? albo ja widziałem tych złodziejów, co je ukradli?

— Za cóż tedy mam płacić?

— Jakie wy głupie Tomaszu, jest za co zapłacić.

— Kiej kuni nie znajdę.

— A jeżeli kunie same was znajdą... to co?

Chłop westchnął. Miarkował on swoim rozumem, że Mendel coś wie, że bez przyczyny nie gada. Chciałby rzucić się na niego, z gardła mu upragnioną wiadomość wydobyć, ale zdobył się na spokój. Widmo łuny pożarnej przerażało go. Zapanował nad sobą.

— Pieniądzy kiele siebie nie mam—rzekł—bo jak się to nie-szczęście stało, takem się tylko byle jak przyodział, ale przyrzekam wam dziesięć rubli za poradzenie dać. Chcecie wierzyć...

— Oj, oj, takiemu gospodarzowi jak Tomasz, choćby i na sto rubli można zawierzyć. Czy ja się boję? ja się nie boję! Wasze słowo mam, to właśnie tak, jakbym w kieszeni pieniądze

miał. Nawet słowo dużo pewniejsze jest, bo pieniądze mogą mi ukraść, a waszego słowa najmądrzejszy złodziej nie ukradnie. Ja wierzę wam.

— Więc radźcie.

— Zaraz, zaraz... przyniosę trochę gorzałki, żeby wy sobie wypili na zmartwienie i żeby wam było ciepło.

Wybiegł z izby, po chwili z flaszką powrócił, nalał wódki w kielich i podając chłopu, rzekł:

— Pijcie Tomaszu na zdrowie i słuchajcie co ja wam powiem. Tylko naprzód wyrzucicie sobie z waszej głowy wszystko złe pomyślenie.

— Ja nijakiego pomyślenia nie mam.

— Już ja wiem. Ja wam zaraz powiem, ja wszystko powiem co w waszej głowie jest... Wy sobie myślicie, że Mendel ze złodziejami ma współkę, że Mendel się z nimi zna... wy sobie myślicie, że może sam Mendel złodziej jest.

— No—nie.

— Ja się nawet nie dziwuję, że takie pomyślenie macie, bo na chłopskie grube kombinacje tak wypada, ale weźcie wy na delikatne kombinacje, to sami zobaczycie, że ten interes całkiem inaczej wygląda.

— Niby jak?

— Jak? Po pierwszego, Mendel dużo jeździ po świecie; po drugiego, Mendel zna różne ludzkie; po trzeciego, Mendel wam bardzo wielki przyjaciel jest. Mendel żadnych złodziejów nie zna, ale takiego człowieka zna, co na kuźdy interes sposób ma. Jest taki żydek. Wy myślicie że on złodziejów zna? Wcale nie zna — ale ma różne sposoby, może ich straszyć, a uni się jego bardzo boją. Wy pojedziecie do tego żydka.

— Daleko?

— Całkiem półtorej mili, do miasteczka — wy jego tam znajdziecie.

- A jak się mam pytać, jak się nazywa?
- Wcale wy nie potrzebujecie pytać, ani on nie potrzebuje się nazywać. Sama droga do niego zaprowadzi. Jak staniecie na rynku, to tam obaczycie szynk Jójny, z czerwonymi okiennicami
- Wiem.
- A koło tego szynku na prawo idzie mała uliczka, wiecie?
- Wiem.
- Będziecie szli tą uliczką prosto przed siebie i rachowali domy co po lewej stronie stoją... jak narachujecie sześć domów, to obaczycie siódmy, a w tym siódmym będzie się. W jednej połowie szewc mieszka, a w drugiej połowie są znowu drzwi, a na tych drzwiach wisi uździennica. Zwyczajna chłopska uździennica parciana.
- Uździennica?
- Ny, uździennica, wielgie mecy! nie widzieliście nigdy kawałek uździennicy?
- Juści widziałem.
- Wy otworzycie te drzwi i wleziecie do izby. Tam będzie sobie siedział jeden żydek.
- I co ja mam jemu powiedzieć?
- Wy nie macie jemu ani jedno słowo powiedzieć. On taki mądry jest, że po oczach waszych zaraz pozna, że wy się nazywacie Tomasz Szczygieł, że jesteście gospodarz z Biednowoli, że wam się przytrafiło nieszczęście i że wy przyślicie do niego prosić, żeby on was w tem nieszczęściu poratował. On taki mądry jest, na moje sumienie!
- Tedy cóż mam robić?
- Całkiem nic. Pojechać tak, jak powiadam do miasteczka, odszukać rynek, Jójny szynk, uliczkę, siódmy dom po lewej stronie, uździennicę na drzwiach i tego żydka w izbie,

Do żydka nie gadać nic, ani jednego słowa, tylko przed nim położyć pięćdziesiąt rubli i wracać do chałupy.

— Pięćdziesiąt rubli?

— A tak!

— No, to wolicie stracić dwieście pięćdziesiąt aniżeli sześćdziesiąt?! Gdzie u was głowa?.. gdzie u was rachunek jest? Ja powiadam, że z wami, z chłopami, niema nigdy sposobu do porządku dojść. Zdaje się gospodarz wielki, pierwsza osoba w całej wsi, a jak do interesu przyjdzie, to mu się głowa zaraz gdzieś zapodzieje. Oj Tomasz, Tomasz, powiedzcie wy mnie: gdzie wasza głowa jest?

— Gdzie ma być?! Głowa jak była tak i jest, jeno mi się wydaje, że pięćdziesiąt rubli dla onego żydka będzie za dużo.

— Jak chcecie... Radzę wam zróbcie tak, jak powiadam. Chłop pomyślał chwilkę.

— A no, rzekł, cóż mam robić? Jadę.

— Bardzo dobrze, bardzo dobrze, ja widzę mój Tomasz, że wy jesteście mądry człowiek, na moje sumienie! Tylko to wam powiadam, moi kochani, i to was przestrzegam, żebyście nie gadali nic. Teraz taki paskudny czas, dużo łajdaków po świecie chodzi, oni wszystkie cygary palą, ogień ze sobą noszą, broń Boże, może być paskudny wypadek. Co to, ogień we wsi, to nie bagatelna rzecz. Cała wieś może, broń Boże, przepadnąć— a za co? dyabli wiedzą za co?

.....

Tomasz zrobił wszystko co do joty, tak jak Mendel powiedział. Znalazł szynk Jojny z czerwonymi okiennicami, boczną uliczkę, siódmy dom i parcianą uźdżienicę zawieszoną na drzwiach. W milczeniu złożył na stole pieniądze i powrócił do wsi..

Noc była ciemna, chłodna, deszczyk mżył, wartownicy spali w swoich budach.

Tomasz na łóżku się przewracał, zasnąć nie mógł.

Rozmyślał, czy też odzyska chudobę swoją, czy nie? Mendel zapewniał go, że ten, co w izbie pod uździenicą mieszka, jest bardzo rzetelny człowiek i że jego słowo warto więcej niż złoto i srebro, niż brylanty nawet.

Gdy już kury z północks pięć zaczęły, zdawało się Tomaszowi, że słyszy jakieś stąpanie koło chałupy.

Zarzucił kożuszyne na grzbiet i wybiegł na podwórko. Przed stajnią zbiedowane i spocone stały jego koniska.

Niewiadomo czyja ręka przyprowadziła je do domu.

Chłopisko dziękował Bogu, że stratę swoją odzyskał, chociaż go to kosztowało sześćdziesiąt rubli popierkami i złoty groszy sześć, co za latarnię sołtysowi musiał zwrócić.

VIII.

Posiedzenia sądu gminnego w Biednowoli odbywały się dwa razy tygodniowo, we wtorki i czwartki.

Podczas takich uprzywilejowanych dni, na placyku przed gmachem sądowym gromadziły się furki, w karczmie było gwarniej niż zwykle, a Mendel Kwiat z wrodzoną sobie uprzejmością nalewał kieliszki skarżącym, skarżonym, świadkom i panom „hadwokatom.“

Świątynia biednowolskiej Themis, zbudowana była z drewna, w stylu wiślano-obornym, a tem się tylko od zwykłych domostw różniła, że miała od frontu ganek o dwóch słupach, po których pięły się delikatne pędy powoju, zasadzonego własną ręką samej pani sekretarzowej.

— Nie mam kuzynka Boberkiewicza — mawiała ta pani w chwilach rozgoryczenia, do nauczyciela — nie szukam wrażeń, nie pragnę strojów, ale Kocham kwiaty. Równie pięknych pelargonij, jak u mnie, nie ma w całej okolicy, a czerwone geranie, fuksye i kaktusy, mogłabym posłać na wystawę. Wszak

prawda, panie profesorze, że lepiej jest gustować w kwiatach, niżli w kancelistach? Powiedz pan sam?

Pedagog wyrażał się zawsze bardzo ostrożnie, i tym razem więc, nie chcąc powiedzieć za wiele, cedził wyrazy z rozmysłem, powoli.

— Właściwie, proszę pani, jeżeli mam wypowiedzieć moje zdanie, to sądziłbym, że natura, albo raczej przyrodzenie, to jest, ściśle biorąc, świat roślinny, daje nam niekiedy niejaki przyjemności. Jest podobno u Plinjusza młodszego...

— Niejaki przyjemności! syknęła cnotliwa dama, rzucając zabijające spojrzenie w stronę kancelaryi gminnej. Niejaki przyjemności! Zapewne, wycieczki do lasu w miłym towarzystwie, bujanie się w czółenku, także w miłym towarzystwie... Czy to pan chciałeś powiedzieć?

— Właściwie, to jest... jeżeli się dokładnie wyrażam, chciałem powiedzieć, że sam świat roślinny, tak zwana Flora...

Pani sekretarzowa w ręce klasnęła.

— Brawo, panie Filipie, brawo! Nie mogłeś pan wynaleźć lepszej nazwy dla tej damy gminnej! piękna Flora! Istotnie, natura nie poskąpiła jej wdzięków, a na to już żadne gorsety, ani żelazne brykle nie pomogą. Zresztą, wiadoma rzecz, że otyłość z wiekiem przychodzi... Piękna Flora! ależ to znakomite, pani Kobzikowska Flora! muszę to puścić w kurs.

Kaczor z przerażeniem spojrział na śmiejącą się do rozpułku damę.

— Pani—rzekł—intencya moja, to jest ściśle mówiąc wyrażenie, stosowało się do natury.

-- Ależ ja o tem nie wątpię... Natura uposażyła ją obficie...

— Powtarzam pani, że miałem na myśli świat roślinny... kwiaty... to jest właściwie... ściśle się wyrażając, tak, kwiaty...

— Jakie kwiaty?

— Róże, naprzykład...

— Koło których motyle zawsze się kręcą... Ach panie, panie! i pan od tej motylkowatości wolny nie jesteś...

— Ja?!

— Tak, tak... pan — a przecież profesor!

— Ścisłe biorąc...

— Prawda, bierzesz się pan bardzo ściśle — za bardzo.

Pedagog zaczął tracić równowagę.

— Proszę pani — rzekł — to jest, iż tak powiem, posądzenie, które, jeżeli mam prawdę powiedzieć, nie da się usprawiedliwić...

— Nie jestem pańskim sędzią, żebym aż usprawiedliwień żądała, a z resztą nie mam do tego żadnego prawa; jeżeli co mówię, to tylko przez życzliwość, ażeby ostrzedz pana od zgubnych i zdradliwych sieci, które...

— Dalibóg...

— Nie przysięgaj pan, ja was znam, znam was mężczyzn, wszyscyście jednakowi.

— Właściwie, proszę pani, to jest, jeżeli tak się wyrazić wolno...

Nie dokończył, gdyż przerwał mu pan sekretarz, który w tej chwili wszedł do pokoju.

— Dobrze że pan jesteś, panie Filipie — rzekł wchodząc — mam tyle roboty, że witam pana jak zbawcę.

— Owszem... właściwie, w ogóle w porze letniej mam czas.

— To bardzo dobrze. Dziś mamy trzydzieści dwie sprawy!

— Trzydzieści i dwie proszę! W ogóle duch zgody nie ożywia tutejszej ludności, a wpajam, to jest, ściśle biorąc, staram się wpajać.

— Niech ich dyabli porwą!

— Wyrażenie nieco za ostre... powiedziałbym nawet, że... za śmiałe.

— Nie zawracaj pan głowy!

— Ale!

— Powtarzam, nie zawracaj pan głowy. Czy pan będziesz w chama co wpajał, czy nie będziesz w niego wpajał, zawsze to będzie cham. Smaruj go miodem, a on...

— Poważam się zwrócić uwagę pana sekretarza, że ja sam...

— Co tam ty, kochany profesorze! Pan jesteś dobry facet, a tamto, ot!

Pan sekretarz był pesymistą. Sama jego powierzchowność zdradzała mizantropa, był bowiem blady, chudy, mizerny, może nawet i suchotnik potrosze, a nieustanne rozdrażnienie nerwowe czyniło go niekiedy nieznośnym.

Przytem pan sekretarz był arystokratą. Pieczętował się podobno „prawdżicem“ i byłby się legitymował nawet, ale mu się dokumenta spaliły. Nie przeszkadzało mu to wszakże opowiadać dużo o zacności rodu Imbierzyńskich, gdyż takie nazwisko nosił, i twierdzić, że Gaudenty Imbierzyński, przodek jego w linii prostej, był jeszcze przed erą chrześcijańską biskupem *in partibus*, w jakowymś dzikim kraju, czy może na bezludnej wyspie.

Kaczora, pomimo arystokratycznych przekonań swych, tolerował, gdyż potrzebna mu była jego kaligrafja i gotowość do pracy za bardzo tanie pieniądze.

— No, panie Filipie—rzekł—poprośmy o jaką przekąskę, bo zaraz się sądy zaczną i do samego wieczora będziemy musieli pracować.

Pani Imbierzyńska pobiegła do kuchni, ażeby osobiście dopilnować śniadania, zaś małżonek jej perorował dalej.

— Dzisiaj będzie osobliwy sąd, dalibóg... w swoim rodzaju coś ciekawego.

— Właściwie co?

— Właściwie, sędzia zachorował i nie przyjedzie.

— O, proszę! niebezpiecznie?

— Nic mu wielkiego nie jest, ale przyjechać nie może.

— Któż go zastąpi?

— A naturalnie ławnik, stary Dmuchała, kolonista z Zabrzezia. Ładny sędzia! Będą Salomonowe wyroki...

— Właściwie, drogi panie! mądrość ludu...

— Powiedz pan: głupota.

— A nie! o nie! Jeżeli mam powiedzieć to, co myślę, to mądrość ludu, tego prostego ludu...

— Co głupi jest, chciałeś pan powiedzieć.

— O nie! ja właśnie, miałem zamiar, to jest pragnąłem szeroko rozwinąć przed panem...

— Daj pokój, nie rozwijaj, lepiej oto jedz i pij.

Pedagog uznał słuszność argumentu i zabrał się do jedzenia z powagą urzędowi i stanowisku swemu społecznemu właściwą, tymczasem gadatliwy sekretarz klął losy swoje.

— Co to proszę pana! praca nieźmierna, pensya mała, dochody...

— Niczego — odezwał się pedagog.

— Pan masz o tem pojęcie! To pyszne! Ciekawym bardzo, jakbyś pan potrafił utrzymać rodzinę z takich głupich dochodów.

— Potrzeby względne są...

— Tak... może chciałbyś pan żebym jadał chleb razowy i kartofle, a ubierał się w sukmanę chłopską.

— To jest...

— Powiedz pan: co wart cały ten sąd?! W armatę nabić i wystrzelić; pan sędzia, pan ławnik, jeden, drugi, to wszystko honorowe osoby, a ty nieszczęsny pisarzu jesteś oto po prostu popychadło, znaczenia żadnego, pozycya marna.

— Ale całym sądem pan trzęsie...

— Co pan pleciesz?... gdzieindziej może tak bywa, ale u nas nawet ławnik ma pretensyę do samodzielności. Nie, ko-

chany panie, te sądy psu na budę się nie zdadzą, dopóki nie zostaną z gruntu zreformowane.

— W czem mianowicie?

— A no, sędzia i ławnicy, jako obywatele, powinni pełnić obowiązki honorowo, sekretarz zaś, powinien mieć przynajmniej półtora tysiąca rubli pensyi i dwóch kancelistów do pomocy; wtedy dopiero wymiar sprawiedliwości szedłby, jak się należy.

Pedagog chciał odpowiedzieć, lecz przerwano mu. Jakiś chłop uchylił drzwi i rzekł:

— Ławnik prosą, żeby pan pisarz zara przysedł do kancelaryi, bo już czas.

— Dobrze, dobrze, powiedz że zaraz... Oto widzisz, panie profesorze, przypatrz się: ławnik woła. Któż jest ten ławnik? Pan Dmuchała, chłop, kolonista! Sam pewnie już zćwiczył miszę barszczu i ze dwa garnce kartofli, a mnie nie da zjeść uczciwie. Takie są chłopskie rządy!

— Jednak Dmuchała, jest niezły człowiek, — rzekł pan profesor.

— Niech go lichy porwie. Chodźmy panie.

To rzekłszy, pobiegł do kancelaryi.

Wnętrze biednowolskiego sądu odznaczało się niesłychaną prostotą. Sala sesyjna, oddzielona od publiczności drewnianą, czarno bejcowaną balustradą, była niska i duszna, obok niej znajdowała się izdebka, w której członkowie sądu odbywali narady.

Sala świadków, z powodu braku miejsca, znajdowała się w kuchni pana pisarza.

Maciej, stróż sądowy, głębokim basem zawołał:

— Cicho! nie pyskować, pókim dobry!

Był to znak, że posiedzenie zara się rozpocznie.

Potężny głos Macieja zrobił swoje.

Publiczność w audytorium zebrana uciszyła się nieco, słychać było tylko przytłumione szepty stron, westchnienia oskar-



— Cicho! nie piskować pókim dobry!

zonych i brzęk much, które w wielkiej obfitości napełniały wnętrze przybytku biednowolskiej Temidy.

Nieraz państwa Imbierzyńskich ta obfitość dokuczliwych owadów doprowadzała do rozpaczy, ale rozpacz to była bezsilna, gdyż koło gmachu sądowego codziennie przepędzano bydło gromadzkie, a wiadomo, że muchy za bydłem ciągną.

— Już ja Pawłowej pokażę — odezwała się babina jakaś wśród publiczności — ja jej po wiek wieków, póki żyć będę, tego słowa nie zapomnę, ja ją do kreminalu wsadzę!

— Nie wsadzita, bo świadki są — protestował inny głos.

— A juści, świadczył się cygan cyganką i cyganiętami, ale głupi byłby sąd, żeby na takich świadków patrzył.

— Ej, nie ujadajcie lepiej Michałowa.

— Ja nie pies, żebym miała ujadać, a wy lepiej sami gębę stulcie, bo tu nie Mendlowa karczma, jeno sąd przენajświętszy, gdzie kuźdy podług swojej miary spodziewa się sprawiedliwości odmierzenia.

— Ale! o sprawiedliwości gadacie, a w was to sprawiedliwość gdzie była, jakeście mojej gąsce łeb ukręcali—i za co? Boże miłosierny i za co?! za to ziareczko owsa, albo może i za dwa, co idący uszczypał! Albo to taka gąska bydlę, czy kuń, żeby szkodę mogła wyrządzić?

— A wy właśnie jeszcze rozpuściliście gębę, jak nieprzymerzając cholewę.

— Cichajta! krzyknął Maciej—cichajta! bo zara straf za płacita, cichajta... sąd!

Drzwi od sali narad otwarły się i pierwszy wypadł z nich z ogromnym impetem, pan Imbierzyński, z plikiem papierów pod pachą i ulokował się przy oddzielnym stoliku, umieszczonym przy oknie i dotykającym balustrady czarnej, która oddzielała sąd od publiczności.

Pan sakretarz siadł aż stółek pod nim zatrzeszczał, od-

chrząknął i zaczął przewracać papiery z gorączkowym pośpiechem.

Mąż ten słusznie uchodził za człowieka wielkich zdolności i jeszcze większej energii.

Z zasady wszystkiemu przeczył, co naturalnie świadczyło o pewnej wyższości umysłu, przytem mówił głosem bardzo podniesionym, a więc przekonywającym, że zaś nosił buty skrzypiące i nie chodził jak wszyscy ludzie, lecz biegał i całem zachowywaniem się swoim robił jak najwięcej hałasu, przeto miano go za człowieka niezmierniej energii.

Imbierzyński na tym koniku, zawsze z trudnych okoliczności życia dość szczęśliwie wyjeżdżał, ale idźmy do rzeczy.

Wchodzą członkowie sądu.

Naprzód, ławnik Kot, człowieczyzna niewielkiego wzrostu, z twarzą wygoloną, w wełnianym szaliku na szyi i grubej kapocie, pomimo straszego gorąca. W ręku trzyma tabakierkę z kory brzozej i tę, usiadłszy za stołem, stawia przed sobą.

Za nim, z wielką powagą, wszedł starszy ławnik Dmuchała, zastępca sędziego.

Był to zamożny kolonista, ubierał się z waszecia, w długą kapotę szaraczkową, umiał dobrze czytać i pisać, a przy tych czynnościach kładł na nos okulary w ciężkiej mosiężnej oprawie.

Trzeci ławnik, wiekiem ze wszystkich najstarszy, był chłop średnio zamożny i po chłopsku się nosił. Nazywał się Bączek, twarz miał pooraną zmarszczkami, włosy długie i dobrze przypruszone siwizną. Ten podczas sądenia spraw zachowywał się zwykle bardzo obojętnie i z trudnością pokonywał senność.

Gdy komplet zasiadł już przy stole, Kot poczęstował wszystkich tabaką, poczem Dmuchała rzekł do Imbierzyńskiego.

— Niech pan zaczyna, która sprawa z brzege.



Wchodzą członkowie...

— „Z brzegu“ była sprawa o obelgi. Pan Imbierzyński odczytał skargę tak szybko, że jej nikt nie mógł zrozumieć i zaraz dwie kobiety przecisnęły się przez tłum do samych kratek.

Obie naraz zaczęły mówić, płakać i powtarzać obelgi, będące przedmiotem sprawy.

W audytoryum zaczęło się robić wesoło.

Dmuchała energicznie uderzył pięścią w stół.

— Cichać — rzekł — bo będzie kara! Która się krzywduje? Michałowa?

— Ajuści — rzekła z płaczem zapytana — nie mam się krzywdować, na takie pomstowanie, na takie przeklony, na takie gęby rozpuszczenie!

— Albo ty sama nie rozpuściłaś jeszcze gorzej?

— Ludzie słyszeli...

— Uciekali ludzie, bo nikt nie chciał słuchać takich...

— Cichajta obie — odezwał się Dmuchała. Nie gadać nic, jeno stoic i słuchać o co się sąd będzie pytał. Michałowa, jakim słowem Pawłowa was skrzywdziła?

— Juści paskudnem słowem, dopraszam się łaski prześwietnego sądu.

— Paskudnych słów siła jest na świecie, ale powiedzcie jakim?

— A czy ja mogę spamiętać? I czy nawet mogę powtórzyć takie pomsty!

— Trzeba powtórzyć, bo na to je sąd.

— Chorobami, prześwietny sądzie, kolkami, prześwietny sądzie, dyablami, prześwietny sądzie, nagłą śmiercią...

— Łże, prześwietny sądzie, nagłą śmiercią ona sama pomstowała, świadki słyszały...

— Cicho Pawłowa, czekać, i was się zapytają. A wy Michałowa powiedzcie czem was jeszcze wyzywała?

— Najpaskudniejszym przewiskiem...

— Jakiem?

— Powiedziała na mnie marmuziela, a ja po ojcu moim grunt sprawiedliwie trzymam i po siostrze, co pomarła, mam cztery zagonki i mąż swoje gospodarstwo ma, to jaka ja prześwietny sądzie marmuziela i kto mi może takim słowem wymyślać? Ja gospodyni, a ona co, po dworach jeno sługiwała i za śtelmacha poszła, a musi i śtelmach kiepski, że jej jeszcze języka nie obstrugał, żeby nim tak nie wojowała jak wojuje. Niech się prześwietny sąd pyta ludzi, to powiedzą, że na całą wieś, a może dobrze i na całą gminę takiej drugiej gęby paskudnej nie zdybie.

— Ale, wasza ładna...

— Do mojej gęby wam zasie.

— Cicho bądźta kobiety — rzekł Dmuchała — bo obie zapłacita karę, żebyście pamiętały sobie gdzie jesteście.

Baby ucichły.

— To je najgorsza sprawa — rzekł Dmuchała do Bączka — jak się baby poczną wadzić.

— Pewnie — odrzekł ławnik ziewnąwszy.

Szafarze sprawiedliwości zażyli tabaki, poczem Dmuchała głos zabrał.

— Tera Pawłowa ma gadać. Czy się przyznajecie do winy?

— Ona sama, prześwietny sądzie, mnie przestęp drogi zrobiła, sama pierwsza zaczęła pomstować.

— Nieprawda!

— A prawda!

— Cicho! Pawłowa; skąd chwestya się zrobiła, o coście się pokłóciły?

— A dyć o gąskę.

— Od marmuzielów mi wymyślała.

— A ona jeszcze gorzej...



— Od marmuzielów mi wymyślała!
— A ona jeszcze gorzej...

— Dość. Powiadam wam kobiety, po sprawiedliwości, jako niepięknie jest takie breweryje po wsi robić — i obieście nie młodziazki jeno stare baby...

— Musi nam kto w zęby zaglądał?!

— Cichać. Kiedy sąd mówi, żeście stare, to stare, a jak wam się to nie widzi, to piszcie apelacyję do zjazdu. Tedy przemawiam do was po sprawiedliwości, jako w sądzie się go-dzi, że nie pasuje pomstów jedna na drugą wołać i od marmuzielów i nagłych śmierciów się wyzywać; zatem jak nie chcecie być karane, to się pogódźcie, odpuście sobie ze szczerogo serca i niech na tem będzie skutek i żeby więcej wasze dzia-łki złego przykładu nie miały.

— To ona kary nie ma mieć?

— A ona może od nagłych śmierciów...

— Skoro chcecie kary, to Pawłowa zapłaci rubla.

— Aha!

— A wy Michałowa zapłacicie drugiego rubla...

— A ja za co?

— Jedna za marmuzielę, a druga za nagłą śmierć i pój-dziecie z onemi rublami do księdza i oddacie one ruble na od-nowienie kościoła i powiecie, że sobie krzywdę odpuszczacie i że będziecie żyły po somszedzku, we zgodzie i sprawiedliwości. To wam powiadam po dobrości. Niech z waszej popędliwości przynajmniej domowi Bożemu chociaż jaki pożytek będzie, to wam i Pan Jezus odpuści i grzech z duszów swoich zmażecie. No?

— Prześwietny sądzie, już skoro przeświatny sąd nagłą śmierć obrachował na rubla, to za marmuzielę patrzyłoby chy-ba z jakie dziesięć złotych...

— O jak to obrachowała!

— Po równości, po równości, domowi Bożemu na chwa-łę. Cóż, odpuszczacie sobie?

— Ha, prześwietny sędzie, skoro Panu Jezusowi na chwale, to ja... odpuszczam.

— A wy Pawłowa?

— I ja też nie cyganka, jeno katoliczka, a skoro prześwietny sąd tak powiada, to ja też złości do Michałowej nie mam.

— Tedy idźta sobie z Bogiem, moje kobiety, a pan sekretarz niech zapisze, jako się pogodziły.

Imbierzyński zamachnął się, skrzytnął piórem i akta na bok odrzucił.

Baby patrzyły na siebie, zdziwione, jakim sposobem nagle z zawziętej kłótni i złości, przeszły do zgody i do wspólnego złożenia ofiary na rzecz kościoła.

Publiczność zaś, znajdującą się w sali posiedzeń, patrzyła na starego Dmuchałę nie bez pewnego podziwu. Niewielka sztuka sprawę osądzić, ale dwie baby zwaśnione pogodzić, to istotnie sztuka, jakiej nie każdy potrafi dokazać.

Druga sprawa, o szkodę w polu, poszła jeszcze prędzej; świadkowie zeznali, że szkoda rzeczywiście była i sąd skazał szkodnika, przyczem znów Dmuchała nie zaniedbał powiedzieć stronom perory, że obowiązkiem porządnego gospodarza jest dobytku pilnować, żeby się samopas nie włączył i sąsiadom szkody w polach nie czynił.

Pan Imbierzyński z właściwą sobie energią „machał“ wyroki, w sąsiednim pokoju pedagog systematycznie i z wielką powagą wpisywał wezwania na następne posiedzenie.

Na temże posiedzeniu Mendel Kwiat wniósł za pośrednictwem Nuchimka, sławnego adwokata, o którym mówiliśmy już poprzednio, akcyę cywilną o sto dwadzieścia rubli.

— Mój klient cierpliwy był—mówił Nuchimek przed sądem—nie dostał ani kapitał, ani procent, czekał, prosił, a jak to nie pomagało, dał mnie pełne potencye i ja prosze sąd wys-

kać z Łomignata sto dwadzieścia rubli kapitał, dwadzieścia pięć sudebne zdzierżkie i kazać mnie dać polnitelne list i opieczienia iski!

— Na co wy Macieju, tyle pieniędzy pożyczali? zapytał Dmuchała Łomignata.

— Prześwietny sędzie — protestował chłop — dyć ja tych pieniędzy na oczy swoje nie widział!

— Słuchał kto? un nie widział!!

— Po sprawiedliwości i prawdzie, mówię, że jeno co raz na podatek dał mi Mendel rubli dziesięć, złotych dwa i groszy cztery, i porachował to, co w karczmie naborgowałem kilka rubli, a on tera, żeby go kolka sparła...

— Proszę sąd — odezwał się Nuchimek — pisać w protokół „żeby jego kolka sparła!“

Dmuchała udał że nie słyszy.

— Proszę sąd pisać, żeby jego kolka sparła...

— Głupis jest.

— Jakto głupi, ja przychodzę z pełne potencye...

— Macieju — spytał Dmuchała — a z kądże się wzięło to pisanie, jako jesteście winni Mendlowi.

— Same zydy pisały.

— Ale wyście tu podpisane przy świadkach...

— Albo ja wiem.

— On teraz nie wie, Jak brać, to on wiedział co robi, a jak oddawać, to powiada że nie jest winien. Kto może z takim sposobem żyć na świecie? Mendel jemu oddał swoją pracę, swoją krew.

— Żeby on tak świat widział — rzekł Łomignat.

— Proszę sąd pisać w protokół „żeby on tak świat widział...“

— Prześwietny sędzie! — zawołał rozpoczliwie Łomignat —

jak ja będę musiał tyło zapłacić, co zydy chcą, to dokumentnie na psy zejde...

Sędziowie wydalili się na naradę.

— No i co? zapytał Kot, zażywając tabakę.

— A co? odrzekł Dmuchala — szkoda chłopca bo szkoda, ja wiem że i połowy a może nawet trzeciej części tych pieniędzy nie dostał. Ale co robić, pismo jest, a w nim stoi jak wół, że winien... a skoro winien, to my co poradzimy?

— Juści — odezwał się Bączek ziewając okropnie — winien ci to winien, a kto winien to oddać powinien, bo takie jego prawo je.

— Będzie go teraz Mendel mordował!

— A będzie, ale co z głupim? Kto mu kazał taki cyrograf dyabelski podpisować.

Biedny Łomignat naturalnie sprawę przegrał. Kiedy ogłoszono mu wyrok, mało nie płakał, włosy sobie z głowy wydziełał, chciał nawet sąd przeklinać i awanturę zrobić, ale przyjaciele wypchnęli go za drzwi i tym sposobem zapobiegli złym następstwom.

Nuchimek na ulicy zaczął chłopca pocieszać i tłómaczyć mu, że wyrok nie jest taki straszny jak się zdaje, że można od niego zaapelować, że wreszcie i sam Mendel niema w charakterze swoim zawziętości i gotów jest nie egzekwować długu, ale przystać na dobrowolny układ.

— Z Mendlem — mówił — możecie wszystko zrobić, na moje sumienie! Ja wam powiadam, że to złoto nie człowiek, on na każdy sposób przystanie. Macie pieniądze, to on przyjmie pieniądze, a nie macie pieniędzy, to przyjmie kwitek.

— A potem znowuż mnie będziecie po sądach wodzili?

— Aj waj! samiście widzieli, co to jest sąd? Czy to co straszniejszego taki sąd! Chłopy w nim siedzą, gospodarze, takie same jak i wy. Krzywdy wam żadnej nie zrobią. Co to taki sąd!

Czy kogo do kryminału wsadzą, do aresztanckie roty! Sąd zwyczajny, chłopski sąd, i wy się jego macie lękać, kiedy wy na drugi rok możecie z tymi sędziami zasiadać! Nie bójcie się, posłuchajcie co ja wam powiadam, idźcie do Mendla, obejdzie się bez apelacyi, bez kosztów.

Łomignat zawahał się, Nuchimek znowuż perswadować mu zaczął, aż nareszcie przekonał chłopca i w pół godziny później pozywający z pozwanym rozmawiali w karczmie w najlepszej harmonji.

— Wy myślicie Macieju — mówił Mendel — że to ja zrobiłem wam sprawę?

— A któż?

— Tfy! ja wam powiem, ja mam obrzydliwość do wszystkich sądów. Jabym was nigdy nie pozywał. Was! takiego porządnego gospodarza!

— Aleście pozwali przecie, skorom musiał się w sądzie stawiać.

— To Nuchimek! wierzcie mi że to on. Ja mam z nim trochę współkę, a on bardzo znów prędki jest. Zwyczajnie jak młody. Takie młodziaki to bardzo gwałtowne są, oni nie mają tę cierpliwość, jak do interesów potrzebna jest.

Łomignat pogodził się z Mendlem i o sprawie zapomniał, przynajmniej do czasu uprawomocnienia się wyroku.

Panowie ławnicy, spełniwszy swój obywatelski obowiązek, opuścili przybytek sądowy. Publiczność rozeszła się i rozjechała — w sądzie pozostał tylko Imbierzyński i pedagog.

— Bogu dzięki! komedia skończona — zawołał pan sekretarz zapalając papierosa.

— Komedia?

— Czysta komedia. Istne kpiny z procedury i prawa! bo, proszę pana, skąd takie chamy...

— Wyrażenie cokolwiek za ostre...

- No, więc chłopi.
- Ścisłe biorąc, należałoby mówić: wieśniacy.
- Ech! zawsze się pana trzyma ta jakaś głupia demokracja.
- Rzekłbym, że nie tak jest, lud albowiem...
- Lud! Lud! wszystko ten lud!
- A panie, to element poważny.
- Ale głupi!
- A jednak, powiedz pan, czy dzisiejsze sprawy były źle osądzone? Siedziałem w drugim pokoju i słyszałem. Dmuchała znajdował się, iż tak się wyrażę, bardzo na swoim miejscu.
- Rzeczywiście, siedział jak słup i plótł trzy po trzy, że się jedno drugiego nie trzymało.
- Owszem, mówił prostymi słowami, ale bardzo dobrze i z sensem.
- Mój panie, sąd nie na to jest, żeby uczył baby, że nie trzeba klócić się i przekomarzać, a gospodarzy, że należy pilnować koni i bydła, żeby nie wchodziły w szkodę.
- Zawsze to, proszę pana, są ziarna, z których kiedyś może być dobre żniwo.
- Już mi doprawdy kością w gardle stoją te pańskie ideały! lud i lud, zawsze ta sama piosnka, a ten lud to panie jest...
- Ośmielam się zwrócić uwagę, że ja sam...
- Że pan masz przewrócone w głowie... czy tak?
- Właściwie, wszelkie przewrócenia w głowach względne są...
- Tak?! Więc pan przypuszczasz, że ja może...
- Nic nie przypuszczam, chcę tylko przypomnieć panu, że ja także jestem dzieckiem ludu.
- Oho! już się panowie sprzeczą, rzekła pani sekretarzowa wchodząc do kancelaryi.
- Właściwie...
- Daj pan pokój. Mój mąż, najlepszy w gruncie rzeczy



— Chodźcie oto lepiej na obiad!

człowiek, ale arystokrata! wielki arystokrata, już go pan nie przerobisz.

— Nigdy — rzekł pan Imbierzyński ponuro.

— Widzisz pan, on sam powiada, że nigdy, pocóż więc macie się spierać? Chodźcie oto lepiej na obiad.

— A prawda, proszę na obiad, panie demagogu, czy jak tam pana razwać, bardzo proszę...

— Obiadek skromny — rzekła pani — może nie będzie tak smakował, jak u pięknej Flory...

— O, proszę pani...

— Tak... przydymiona kasza, przy ładnych oczach, smakuje jak najlepszy marcepan... Szkoda tylko, że ten, jakże go tam... no! panie, ten kuzynek pięknej Flory, pan... pan... ten z powiatu...

— Boberkiewicz.

— Tak, ten Boberkiewicz, wchodzi panu w drogę...

— O pani, doprawdy nie zasługuję na takie zarzuty, bo właściwie...

— Właściwie, wszyscy jesteście jednakowi!

— Czy i ja? — zapytał pan sekretarz.

— A naturalnie, w tym względzie nie ma żadnych wyjątków.

IX.

— A ty czego po chałupie szukasz? — spytała Łomignatowa swego małżonka.

— Ot, chciałem postronka kawałek...

— Na cóż tobie postronek?

— A niby wedle jutrzejszego jarmarku, chciałbym niby krowinę jedną wyprowadzić.

— A ja z czem ostanę?

— Dyc jeszcze ostanie ci się dwie, a tera do jesieni idzie,

do zimy, mleka tak i siak wiele by nie było, a i siana też nie ma za dużo.

— Juści że niema, skoroś jeden stożek Jankłowi przedał. Ja ci tego stożka nie podaruję, nie bój się! takie siano! Boże miłosierny! Co najpiękniejsze siano i stożek porządny, najmniej trzy fury...

— Jeno dobrych dwie.

— Choćby i jedna tyłko, to wara ci było przedawać.

— Albo ja przedał?

— O! nie przedał! a skoroś nie przedał, to jakim prawem Mendel siano zabrał?

— Za present...

— Oj, dać tobie present kijem, jeno dobrym, dębowym, za te handle różne, co z żydami masz. Już oni niedługo i ciebie samego zabiorą, żebyś im w piecu palił.

— Nie pomstuj ano kobieto, nie pomstuj, bo ja i tak markotny, że mało nie zginę. Tobie się widzi, że ja przez duszy jestem, że ja serca nie mam, że mi bydłatka nie żal!? Już ja ją, ona krowę oplakał, jużem się dość o nią namartwił i nafrasował, a ty mnie jeszcze mankulji dodajesz. Już ci nieco jeno chyba chcesz żebyś poszedł do lasu i obwiesił się na gałęzi.

— Poganinie ty jeden!

— Nie poganin ja, ale jak mi zaczniesz głowę psuć, to mi do reśty rozum odbierzesz.

— Ale, odbiorę ci ten chyba coś go nigdy nie miał!

— Choćby ja i sto rozumów miał, to jak krowy nie przedam to Mendłowi nie zapłacę.

— To mu nie płac, niech czeka, przecież nie uciekasz ze wsi. Latoś zboża nie bardzo do przedania, ale może na bez rok znajdzie się... to oddasz. Powiedz mu żeby poczekał.

— Idźże mu i powiedz, kiej on nie chce, jeno powiada żeby dawać i na tem skutek.

— Oj biedne moje bydłatko! moje bydłatko kochane! od cieleńcia odchowane! zawodziła baba na cały głos, ale Łomignat jako mąż duchem silny i niepoddający się smutkowi, machnął ręką i rzekł:

— Ot, przy boskiej pomocy dochowamy się jeszcze.. Nie płacz jagodo, ja do dnia wstanę i krówsko poprowadzę na piechotę, a ty se z chłopakiem furą jedź.

— A juści, pojedę, pojedę, gęsi parę sprzedam i prosię, to przynajmniej na sól parę groszy będzie.

Na drugi dzień, skoro tylko świt, ruch wielki we wsi się zrobił, bo na jarmark każdy chętnie spieszy. Ma się rozumieć że spieszy, bo tam wszystko jest i każdej rzeczy dostać można, a przytem zobaczyć się z kumami, swojakami, znajomymi z całej okolicy.

Z Biednowoli prawie cała wieś pojechała, i to nietylko chłopci ale i inteligencya także.

Państwo Imbierzyńscy wynajął furmanką, Kobzikowski z panią Domicelą na własnej bryczce, bo stójkę w gminie utrzymywał, a że owsa, niesiejąc wprawdzie, dużo zbierał, więc też koniki aż świeciły się, takie były wypasione i tłuste.

Pani Imbierzyńska nieraz odzywała się z przekąsem o tych koniach i właścicielce ich, ale to też była dla zbolełego serca jedyna ulga gdy mogło szyderstwem wybuchnąć.

Kaczora zabrał na swoją furmankę wójt Sokół, chłopci bądź pojechali, bądź powlekli się pieszo, tak, że we wsi mało kto pozostał.

Onufry w odświętnej kapocie i w wielkiej czapce rogatej poszedł pieszo, opowiedziawszy się wprzód proboszczowi, że ma bardzo dużo interesów do załatwienia i że dla oszczędności kosztów puszcza się *per depes* apostolorum.

— Chyba *per pedes* — rzekł ksiądz.

— Nie, proszę dobrodzieja — odrzekł z całą stanowczością —

per depes, bo skoro święte apostołowie deptali na ten przykład piechtą, to tem bardziej mnie, dziadowi marnemu, pasuje te dwie milki przelecieć.

— Pamiętaj tylko — zapowiadał proboszcz — żebyś z powrotem deptał prosto i bez przygody.

— Przygoda w mocy Boga, a jeżeli dobrodziej powiada że tedy na ten przykład...

— Ja nie nie powiadam, proszę cię tylko, żebyś, jak będziesz wracał per depes, nie rozdeptywał żab po rowach i żebyś wcześniej wrócił...

— O! proszę dobrodziej, jeszcze dobrodziej będzie spoczywał, jak ja tedy na ten przykład, na Anioł Pański zadzwonię.

Onufry z miejsca solennie dotrzymywał przyrzeczenia; szedł prosto, z miną poważną, podpierając się wielkim kijem dębowym, ale po drodze spotykał ludzi dużo, a szatan, wróg trzeźwości, ponastawiał karczem dość, aby łapać w nie chłopów, jako ptactwo śpiewające w potrzaski. Sikora uboga, makołągwa, szczygieł wlezie w potrzask, człowiek zaś, choć niby rozumniejszy od onych ptaszków, złapie się na karczmę. Wedle zwierza żelazo, ale każdy się znęci.

Toż i Onufry, na ten przykład, tu wstąpił, tam się zatrzymał, i im bliżej był miasteczka, tem jakoś gorzej szedł. Widać takie wódczysko było dwoiste, na gardło dobra, bo głos coraz to lepszy dawała, a na nogi gałgańska...

Onufry zjawisko to w naukowy sposób tłómaczył.

— Bo — mówił — jensza na ten przykład gorzałka taka jest, że się w niej kuźdy klej rozpuszcza i ta właśnie jest człowiekowi najbardziej szkodząca.

— A to dlaczego? pytali chłopi.

— Zaraz wam to, na ten przykład, wytłómaczę, bo tedy, czy wicie dlaczego człowiek chodzi?

— Juści chodzi, bo nogi ma.

— Tedy, na ten przykład, powiedział co wiedział głupstwo tedy...

— A jak?

— Nie wszystko tedy chodzi co ma nogi, bo na ten przykład stółek też ma nogi, a nie chodzi.

— Juści prawda.

— Zasje na ten przykład człowiek chodzi, bo ma w nogach klej.

— Ale!

— Kiedy, na ten przykład, powiadam, że ma, to ma, bo w kuźdem żywem stworzeniu, a nawet i na ten przykład we szczupaku, albo w jenszej rybie, klej jest...

— Boć jest, Onufry powiadają prawdę.

— Tedy, skoro na ten przykład wódka klej rozpuści, nogi, żeby nie wiem jakie mocne, dycht swój tracą, i choćby nawet po szczerem piasku idący, będą zara w zatokę leciały, niby bosa sanie po lodzie.

— Jak to Onufry na kuźdą rzecz przetłomaczenie znajdzie.

— Ha, no tak, odklei się cała moc i na tem skutek, a wiele przez to niewinne ludzie cierpią, toby, na ten przykład, na wołowej skórze nie spisał...

— Nie mogę ja zmiarkować — odezwał się jakiś chłop — za co by tu kto miał cierpieć.

— Nie możesz braciszku? Ha, widać już taka twoja uroda, że kuźdą rzecz, trzeba ci na ten przykład łopatą w głowę pakować... Cierpią na ten przykład niewinne ludzie, bo cierpię i ja nieraz sam...

— Onufry!?

— Albo nie!? Choćby na ten przykład nasz proboszcz! Osoba godna całkiem i wspaniała, ociec duchowny, a przecie fanaberye swoje nieraz ma takie, że wytrzymać trudno...

— W czym?

— Zdarzy się. Bywa nieraz zawoła: „Onufry, a gdzieś się tak zdoił, jak nieboskie stworzenie? Onufry, pamiętaj sobie, żebyś tyle nie pił. Onufry! to, Onufry sio! A ja na ten przykład cierpię przez żadnej winy, bo ksiądz myśli, że ja na ten przykład jestem napity, a to po prawdzie tylko co się we mnie klej rozpuścił.

W kilku karczmach po drodze Onufry taką prelekcję o kleju wygłosił i tem sobie i bliźnim urozmaicał monotonność podróży.

Przy wjeździe do miasteczka, na moście, z dziesięciu dziadów siedziało, pieśni różne zawodząc. Tu głównie rozsiadali się oni, bo z dziadowskiego punktu widzenia most był uważany za najlepsze miejsce. Spieszyli się też żebracy aby je zająć, a nie-jeden jeszcze w nocy tam zasiadł, żeby go inni nie uprzedzili.

Każdy z nich miał wielkie sakwy płócienne, przewieszone przez plecy, żółwiową skorupę na grosze i trojaki, oraz kij z kawałkiem skóry z jeża na końcu. Taki kij, to podobno najlepsza broń na wiejskie psy, które zazwyczaj głośną muzyką lubią dziadów od chałupy do chałupy przeprowadzać.

Jarmark to żniwo dla dziadów, a na owym moście żniwo najobfitsze. Tuż za mostem była rogatka, przy której żyd kopytkowe pobierał, każda więc fura z konieczności tu się musiała choćby na chwilę zatrzymać. Każdy chłop musiał do kieszeni sięgnąć, a słysząc dziadowskie pieśni, przypominał sobie zaraz jaką duszę zmarłą, jaką nieboszczkę Katarzynę, nieboszczyka Andrzeja lub Wojciecha, za których wieczny spokój godziło się jałmużnę dać. Inszy, przypomniawszy sobie własne, doczesne troski lub kłopoty, dawał znów do Pocieszenia Matki Boskiej, albo do Przemienienia Pańskiego — i grosze gęsto padały w żółwiowe skorupy.

Różne pieśni wysławiali dziady na moście. Znane i stokrotnie słyszane o świętym Mikołaju, o Łazarzu i bogaczu



Spieczyli się też żebracy aby je zająć...

albo też te, które się w kościołach śpiewa, należały do zwykłego repertoaru; niektórzy wszakże sprytniejsi wynajdywali dawne, niekiedy nawet wesołe i świeckie śpiewania, odnawiali je po swojemu, komponowali nowe zwrotki, albo też i tekst cały, zachowując tylko nutę staroświecką.

Najgłośniej wrzeszczący i „najbogatszy dziad“ Kajetan, powiadamy: najbogatszy, bo piechotę nie chodził, ale konia swojego miał i wóz z budą płócienną, i w tym ekwipażu od wsi do wsi się włóczył, posiadał najobfitszy repertuar i na każdym jarmarku, na każdym odpuscie zawsze coś nowego śpiewał. Znali go też wszyscy chłopci w okolicy i lubili śpiewania jego słuchać.

Największe powodzenie wśród tej publiczności niewybrednej miała pieśń o tym dziadu „cudowniku“, który do obrazu przemówił, dyabła za babę przebranego pobił sromotnie, ukradzione rzeczy odnajdywał, a nawet, raz, widząc tonącego żyda, jak powiada pieśń:

„Uczył mu krzyż na gębie

„Wziął za brodę—pchnął na głębie

„I do raję przeprawił...

Ten dziad cudownik, był bohaterem pieśni, z takim powodzeniem przez Kajetana śpiewanej. On to:

„Po odpustach rad chodził

„Święte pieśńie wywoził,

„O Łazarzu co był w raję,

„O Bogaczu—o Madeju

„Jak żywcem w piekle gorzał“

Dyabeł uczynił na cudownika zasadzkę,

„Ale widząc, że straci

„Przyszedł w babskiej postaci—

„I ni z tego ni z owego

„Siada baba kiele niego

„Zaczyna o Łazarzu“.

„Wrzeszczy baba co siła,
 „Wszystkich dziadów zgłuszyła;
 „Dziadek, chociaż żył w pokorze,
 „Dłużej ścierpieć już nie może
 „Do jankuru przychodzi“
 „Pobożnie przez urazy
 „Grzmotnął babę z pięć razy
 „Od prawicy, ku lewicy
 „Aż bęcnęła na ulicy
 „Bo tak ze złem wypada“.

Nie będziemy powtarzali dalszych perypetyj cudownika, bo pieśń bardzo długa, a czyny bohaterskie tak liczne, że nie spisalby i

„Na papierze, na majmurze
 „Na kamieniu i na skórze
 „Wszystkich cudów dziadowych!!“

Ludzie słuchali uważnie, prócz jednego Onufrego, który do Kajetana miał niechęć, podobno z przyczyny jakiejś osobistej urazy, o której kronika biednowolska milczy; my zaś, nie mając poważnych dokumentów historycznych, wolimy pominąć całkiem ten szczegół, aniżeli odtwarzać go na podstawie plotek, niemających cechy autentyczności.

Coraz liczniejszy tłum napływał do miasteczka, pomiędzy furmankami trudno się było przecisnąć, a ryk bydła, rzenie koni, kwik trzody napełniały powietrze.

Na rynku z budami swemi roztasowali się czapnicy, szewcy, handlarze kozuchów. Bednarze, stolarze, kołodzieje, blacharze zachwalali swój towar, a we wszystkich szynkach i kramikach żydowskich był ścisk ogromny.

Żydzi zadyszani, zapoceni, przebiegali przez uliczki, przeciskali się pomiędzy furami, krzyczeli, handlowali, bo jarmark to dla nich raj.

Wszyscy nasi znajomi z Biednowoli stawili się w miasteczku jakby na wezwanie.

Szczygieł kręcił się koło blacharzy, „według onej lantarni“, Łomignat targował się z żydami o swoją krowinę, wójt kupował śledzie i inne delikatesy na chrzciny, które zamierzał wyprawić, Wincenty Pypeć, niefortunny wyborca Kobzikowskiego, sprawiał sobie kozuch. Skrzypek dla swojej młodej żony, która mu się okrutnie udała, upatrywał pięknej chustki, Onufry targował u żyda wspaniały pas włóczkowy, czerwony jak krew, pas, którymby, jak mówił, mógł sobie przy święcie uroczystem, żywot, na ten przykład... podpassać.

Każdy tu miał potrzebę jakąś, lub sprawunek, a najbardziej kobiety i dziewczęta. Te z pożądliwością spoglądały na towary galanteryjne i różne przynależności toaletowe porozkładane na przenośnych stolikach.

A były tam istotnie piękne rzeczy i godne widzenia. Lusterka w blaszanej oprawie, grzebyki, któremiby można słonowi skórę do krwi zdrapać, mydełka pachnące (tak sama żydówka mówiła!), spinki szklane, pierścionki tombakowe, paciorki żółte, białe, zielone, imitacje koralu, bursztynu, pereł, nawet rubinów i szmaragdów, wstążki wszelkich kolorów, igły, nici, naparstki, biżuteryja najosobliwsza. Kobietom aż się oczy świeciły do takich śliczności, bo wszystkie te towary były przecież modne i ponętne, a żydówki niebardzo upierały się przy cenie i po niejakiach pertraktacyach zniżały żądania swe o połowę, a nawet i o dwie trzecie. Tego samego systemu handlowego trzymali się także szewcy, czapnicy i właściciele kramików, dzięki czemu zakłębom i przysięganiom nie było końca.

Mendel Kwiat także nie opuścił jarmarku, miał bowiem na nim do załatwienia mnóstwo interesów, przywiózł na sprzedaż kilka baranów, parę korey zboża, a jaj, masła, serów co niemiara; prócz tego miał do zrobienia niejedną transakcyę

o pożyczkę, potrzebował rozciągnąć pewną opiekę nad krową Łomignata, wywieźć się o cenach wszelkich produktów, o najnowszych wersjach z polityki, o tem, czy okowita zdrożeje, czy owies w górę pójdzie. On potrzebował wszystko wiedzieć, bo to do jego fachu, do interesów jego, było nieodbycie potrzebne.

Miał więc niemało do roboty. Biegał z jednego końca miasteczka w drugi, przeciskał się pomiędzy wozami, rozmawiał z pierwszymi kupcami w miasteczku, od których dowiedział się wielu ciekawych nowości i otrzymał mnóstwo komisów.

Mendel miał główny interes w karczmie, ale po za nim prowadził tysiące innych, z czem mu działo się tak dobrze, że zamierzał kupić dom w miasteczku i wyjść także na wielkiego kupca, a karczmę innemu odstąpić.

Łomignat nie miał szczęścia na jarmarku. Żądał trzydziści rubli za krowę, bo krowa była dobra, młoda, nieźle utrzymana; ale żydzi śmieli się z niego i proponowali mu zaledwie kilkanaście.

Chłop aż się pienieł ze złości, a że po drodze, ze zmartwienia wypił trochę, więc jeszcze w większą złość wpadł i aż go ręce świerzbiały, żeby kogo wytuzować.

— Nu, Macieju — zapytał Mendel — dlaczego niesprzedaliście krowy?

— A bo te psia kość żydy chciałyby za darmo krowę zabrać.

— Bo drogo chcecie. Co to taka krowa, to gałgan nie krowa! Wy jej nie sprzedacie bezemnie. Jak ja jej nie kupię, to nikt nie kupi, a ja wam dam bez targu dziewiętnaście rubli.

— A nie pójdziesz ty zatracenćze! — zawołała żona Łomignata — widzisz go, może ci darmo krowę dać?...

Mendel się roześmiał.

— Ny—ny, jak postoić tu z krową do nocy, to nie będzie taka wielka pani, sprzedacie i za piętnaście...

To rzekłszy odszedł.

Pomiędzy wozami przesuwiał się ławnik Dmuchała, zatrzymał się, obejrzał krowę i rzekł:

— Wy, Macieju, to krówsko mnie życzenie...

— Co mam życzyć, i tak sądziliście mnie, jak złodzieja,

— Sąd sądem—a krowa krową. Osądziłem, bo takie moje prawo i nie mogłem inaczej, skoro kwit był,—a krowa mi pasuje i wiem, że z dobrego gatunku, tedy chcę kupić.

— Oj gatunkowe bydlę, gatunkowe!—wtrąciła baba prawie z płaczem—i żeby nie Mendel, co nas dusi, nie sprzedałbym jej za żadne pieniądze.

— Jać to wiem—odezwał się Dmuchała—siła wy za nią chcecie?

— Trzydzieści—rzekł ponuro Łomignat.

— Dla mnie warta. Życzenie mi.

Łomignat oczy wytrzeszczył.

— I przez żadnego targu?—zapytał zdumiony.

— Mówię, że dla mnie warta—życzenie mi.

— Ano—to życzę.

Uderzyli się po rękach.

— Jeno mój Macieju, mój kochany—odezwał się Dmuchała—muszę was o łaskę prosić. Choć to na jarmarku na borg nie dają, ale że ja pieniędzy kiele siebie nie mam, to wam w domu zapłacę. Oto profesor z Biednowoli idzie, przy nim powiadam, że zapłacę wam w domu za tę krowę trzydzieści rubli, a krowę biorę zaraz. Wierzycie mi?

— Cobym nie miał wierzyć? Jeno najgorzej Mendel, bo to dla niego jać to bydlątko kochane sprzedaje...

— Owszem, przyjdźcie właśnie z Mendlem; a tera niech

mój chłopak krowę weźmie, a ja wam sprawię litkup! Oto może i pan profesor naszą grzecznością nie wzgardzi...

— Owszem, pójdę chętnie—rzekł Kaczor—bardzo chętnie pójdę.

— Poszli tedy na litkup, do austeryi. Był to szynk trochę porządniejszy od innych, uczęszczali do niego zamożniejsi chłopci, koloniści, młynarze, resursa zaś, utrzymywana przez bogatego Szmula, była przybytkiem wyższej arystokracji, do jakiej zaliczali się naprzykład państwo Imbierzyńscy, Kobzikowscy i inni podobni dygnitarze.

Dmuchała zaprowadził gości do osobnej stancyi, kazał podać wódkę, przekąskę i piwo, a wydobywszy nabity banknotami pugilares, rzekł:

— Macieju kochany, Łomignacie, sąsiedzie. Dziwno ci pewnie, żem przed tobą łgał, jako pieniędzy nie mam, a teraz pokazuję że mam.

— Musi chcieliście sobie trochę pożartować.

— Nie, bo choć pieniądze, jako widzicie, mam, ale swego się trzymam i jako przyrzekłem, za krówkę dopiero wam w domu zapłacę.

— O!

— A juści, litkup ci sprawię porządny, żebyś pamiątkę miał przynajmniej jako na jarmarku byłeś, ale pieniędzy do ręki nie dam.

— Dlaczego? — zapytał Kaczor.

— A właśnie zaraz powiem i bardzo jestem kontentny, że pan profesor z nami jest, bo zrozumie co ja w tem mam i Maciejowi przetłómaczy, jako życzliwy mu jestem, i co robię, to robię po dobrości... Spenetrowałem ja to, że nasz Maciej głęboko Mendlowi do kieszeni zalazł.

— Oj zalazł ci on, zalazł — wtrąciła Maciejowa z płaczem — zalazł po same uszy, że nawet i pomiarkować nie mogę, jak

wylezie stamtąd. Chyba z chałupy go całkiem wygonią, dobytek sprzedadzą, a ja biedna z dziećmi chudziaczkami będę musiała na wyrobek pójść, albo do służby. Oj! dola moja, dola, czy ja się spodziewałam tego?

— Cichajta no, moja Maciejowa, cichajta, skoro chcę wam rzec dobre słowo, właśnie podług serca szczerości. Dziwno wam może, że ja nie brat i nie swat, ani choćby na to mówiący kum, w wasze jenteresa chcę się wtrącać, ale gospodarza mi szkoda, po co się ma marnować. Dziś Mendel na niego wyrok ma i w prawie swoim jest, że może chłopa do szczętu zmizerować.

— Dyc samiście go osądzili...

— Nie gadajcie kobieto, bo nie wasza głowa na to. Osądziłem bo musiałem i żeby na mojem miejscu nie wiem kto siedział, to byłby chcąc nie chcąc tak samo osądził. Skoro pis-mo je, że się winno, to trudno — na to niema już sposobu... I to mi wiadomo, że Maciej krowę dla Mendla sprzedaje.

— Oj dla niego, dla niego!

— Tedy, że mi akuratnie krowa potrzebna, więc ją od was kupiłem. Przyjdźcie jutro Macieju do mnie z Mendlem, to mu zaraz przy mnie one trzydzieści rubli oddacie i musi je wam z długu odpisać — zaś jakbyście oddawali sami, tobyście musieli z połowę przepić, a druga połowa takby oto, jak to powiadają, przyschła. Krówsko byście stracili, a dług długiem pozostał. Tera rozumiecie?

— Aj, żeby wam się ręce ozłociły, mój ławniku — zawołała Maciejowa.

— Czekajta no, nie na tem skutek. Trzeba Mendlowi cały dług zapłacić...

— A skąd ja tyta pieniędzy dostanę?

— To bajki. W gminie są teraz; ja wiem, bo kilku gospodarzy popłaciło.

— Nie dadzą mi w gminie, nie dadzą...

— Dlaczego nie mają dać?

— A juści, bo Sokół na mnie zły, bez to, żem go za wójta nie chciał wybierać... Krzywy on tera na mnie.

— Bajki, co ma krzywy być.

— Bo jest.

— Nie frasujcie się. Jak skoro ja do niego przemówię, to wam żadnej przeszkody nie uczyni.

— Bóg wam zapłać, niech wam Pan Jezus na dzieciach wynagrodzi.

— Jeno wam to jedno zapowiadam i przykazuję, żebyście więcej do żadnego pisania skorzy nie byli, bo pisanie to dobra rzecz, a'le zdradna, a jak znowu wleziecie w błoto, tedy was już żadna na świecie kasa nie poratuje i zejdziecie na psy, na wieki wieków, Amen.

— Oj nie wleżę, nie wleżę, ławniku kochany, żeby on mi złote pióro w garść wtykał, żeby je w miodzie maczał, nie podpiszę za żadne pieniądze na świecie.

— Ano, jak nie będziesz podpisywał, to ostaniesz Macieju gospodarzem, jako i byłeś — a jak zaczniesz znowu żydom kwitki pisać, to odrazu sakwy sobie uszyj i żółwiowej skorupy poszukaj, żebyś miał z czem pod kościołem siadać.

— Macieju — odezwał się Kaczor — ławnik do was przemawia jak ojciec, a jabym dodał jeszcze, że żebyście wcale do karczmy nie chodzili, to byłoby dla was dużo lepiej...

— Niech-no spróbuje! — zawołała Maciejowa — chybabym mu garnek z gorącą wodą o łeb rozbiła, chybabym łopatę i kosiór na nim połamała, chybabym...

— To już — rzekł Dmuchała — między wami rzeez, jako w świętym stanie małżeńskim jedno drugiemu może przeperswadować czy kosiorem, czyli łopatą, według upodobania, byle przez pomsty i obrazy boskiej.

— Ale nie pójdę, sąsiadeczku kochany, nie pójdę — mó-

wił bijąc się w piersi Łomignat. — Niech je marności ogarną, ani zajrzę nawet.

— Do waszej woli Macieju, ja wam życzę po dobrości i sprawiedliwości, a wy zróbcie według pomiarkowania waszego, a teraz bądźcie zdrowi, bo mam jeszcze niejedno załatwić, a przed nocą w domu być.

— I my zaraz idziemy — rzekła Maciejowa — ja mojego też do chałupy przed nocą przypędzę. Bóg wam zapłać ławniku... Bóg wam zapłać!

I Maciej i jego żona dziękowali Dmuchale za dobrą radę i życzliwość, poczem zaraz do domu poszli, niezatrzymując się dłużej w miasteczku, ku wielkiemu zdumieniu Mendla, który na razie nie mógł zmiarkować co się stało. Przypuszczał, że Łomignat raczy się w jakim szynku, a kobiecie sprzykrzyło się zapewne wyczekiwać napróżno kupca na krowę, więc też prawdopodobnie powróciła z nią do domu.

Kaczor zachwycony był postępkami Dmuchwały. Postanowił więc wyszukać zaraz Imbierzyńskiego, i opowiedziawszy co się stało, przekonać tego zawziętego arystokratę, że lud ma swoje dobre strony i praktyczny rozum.

Ułożywszy tedy w myśli odpowiednią mówkę, rozpromieniony pedagog udał się do handlu Szmula, gdzie, jak powiedzieliśmy, zbierała się sama arystokracja. Zaledwie jednak drzwi uchylił, cofnął się natychmiast, jako człowiek kierujący się zasadą neutralności i nieinterwencji.

W jednej stancyi znajdowały się panie Kobzikowska i Imbierzyńska, a chociaż udawały, że się nie znają, jednak docinały sobie nawzajem bez miłosierdzia. Poznał to odrazu pedagog po sarkastycznych uśmiechach i piorunujących spojrzaniach, jakie te panie nawzajem na siebie rzuciły, poznał i zmiarkowawszy co jest, cofnął się.

W jego położeniu była to najrozumniejsza polityka — po-

lityka całych butów. Nie mając najmniejszego widoku, aby mógł kiedy przekonać obywateli biednowolskich, że nauczyciel potrzebuje jadać i ubierać się—musiał się ratować kaligrafią i zarabiać trochę przy sądzie, a trochę przy gminie i z tej racyi z obydwoma paniami tych instytucyi być na dobrej stopie. Inaczej musiałby nieborak głodu przymierać, co byłoby tem przykrzejsze, że zacny pedagog odznaczał się wielkim apetytem, jak w ogóle wszyscy ci, którzy nie mają wiele do jedzenia.

W handlu Szmula było coraz gwarniej, Zeszło się tam kilku gorzelanych, ekonomów, pisarzy gminnych, a że Kobziowski był bardzo towarzyski, a pani Domicela uchodziła za piękność, więc też koło nich grupowało się całe towarzystwo. Pani Imbierzyńska skutkiem tego zieleniała z zazdrości i nie mogąc patrzeć dłużej na powodzenie swej antagonistki, namówiła swego małżonka do wyjazdu. Niebardzo mu to przypadało do smaku, gdyż pisarz z sąsiedniej gminy zapraszał do siebie na preferansika i dyabełka, a Imbierzyński lubił los kusić—ale wobec kategorycznego żądania małżonki ustąpić musiał.

— Wszystkiego chciej odemnie — mówiła—byle tylko nie każ mi pozostawać pod jednym dachem z tą kokieta, z tą Florą, której się zdaje, że jak włoży na głowę jakiś dziwaczny kapelusz, to już może całym światem pomiatać.

— Uprzedzasz się moja duszko...

— To paradnel ja się uprzedzam. Więc zostań, zostań, idź tam, nadskakuj, asystuj! ona do każdego zęby szczerzy, więc i ciebie to szczęście spotkać może... Idź, idź, ja pojedę sama. Każda kobieta uczciwa cierpieć musi, to rzecz wiadoma. Nie ja pierwsza i nie ja ostatnia. Doprawdy, widząc co się teraz dzieje na świecie, można przyjść do przekonania, że zasną kobietą być nie warto. Nie warto, sto tysięcy razy powtarzam, że nie warto, lepiej kokietką być...

— Nie każda to potrafi, moja żono.

— Nie każda! rozumiem co chcesz przez to powiedzieć. O tak! wymawiasz mi, że nie mam urody. Wiem, żona zwykle jest brzydka w oczach własnego męża, ale mąż może się mylić.

Imbierzyński roześmiał się.

— Ja wierzę w twoją cnotę—rzekł.

— Wierzysz, bo musisz.

Rozmowa przybierała coraz ostrzejszy charakter, o co przy dość porywczym temperamencie obojga małżonków nie było trudno. Kronika biednowolska twierdzi, że przez trzy dni państwo ci do siebie nie mówili, a nienawiść pani sekretarzowej do pięknej Flory doszła do maximum.

Pod wieczór, drogi prowadzące do miasteczka ożywiły się znowu, a jak rano wszystko dążyło do jednego punktu, to jest do miasteczka, tak wieczorem znowuż rozchodziło i rozjeżdżało się z tego punktu na wsze strony. Ważny w życiu wioskowym dzień dobiegał do końca.

Ku Biednowoli wózkami i pieszo ciągneli nasi dobrzy znajomi; pedagoga zabrał na swój wózek Dmuchała, Szczygieł z połowicą swoją dążył za nimi, dalej inni gospodarze, a wreszcie Mendel na wozie naładowanym różnemi sprawunkami i artykułami handlu. Finansista ów przynaglał szkapinę swoją do pośpiechu, gdyż nazajutrz, o dwie mile od Biednowoli, w innem miasteczku był jarmark, a takiej okazji Mendel nigdy nie opuszczał. Jest rzeczą dowiedzioną, o czem Onufry Grzędzikowski nieraz ze wzruszeniem opowiadał, że droga na jarmark jest znacznie krótsza, aniżeli droga z jarmarku, zwłaszcza gdy kto podróżuje „per depes“; że złe duchy po to specjalnie na jarmarkach bywają, aby upatrzywszy sobie jakąś ofiarę, mrokiem na nią, gdy powracać będzie, czatowały, i że wreszcie nogi ludzkie są tak urządzone osobliwie, że na jarmark dążą w kierunku prostym, a z jarmarku biegną po łukach i elipsach, albo też wprost wypowiadają człowiekowi posłuszeństwo.

Te niezbite prawdy, stwierdził na sobie, po raz Bóg wie już który, Onufry. Wyszedł z miasteczka rażno, w dobrem zdrowiu, w sile ciała i umysłu, nie sam, lecz w towarzystwie porządnego gospodarza Pypcia, który wyraźnie powiedział, że jeżeli wstąpi na chwileczkę do Jankła, trzymającego szynk przy samej rogatce, to nabierze takiej mocy nadzwyczajnej, że będzie mógł choćby przez całą noc iść bez odpoczynku, niezatrzymując się nigdzie, chyba w karczemce na Wygodzie, której żaden porządny i szanujący się gospodarz nie omija.

Pomimo, że Pypeć był silny i Onufry także silny, wędrówka nie obeszła się bez przygód, gdyż siła złego jest większa niżli chłopska siła. Prowadzała ich tedy moc nieczysta od rowu do rowu, to znowuż na środek gościńca pchała, tak, iż nawzajem uderzali o siebie, to wreszcie rzuciła Onufremu taki tuman na oczy, że zamiast przejść przez mostek po wierzchu, przeszedł pod spodem. Szczęściem, że rzeka, na której ów mostek był wzniesiony, wyschła i tylko na dnie jej było trochę błota. Dzięki temu, Onufry z przygody wyszedł cało.

Nazajutrz miał ciężką sprawę z księdzem, który na żaden sposób nie dał sobie wyperswadować, że wszystkiemu winien był duch nieczysty, mający Onufrego specjalnie na oku, jako człowieka, który kościołowi służąc, nie może być przez szatanów mile widziany.

Tak prostej argumentacyi ksiądz nie mógł, czy nie chciał zrozumieć, dość, że Onufry wyszedł z plebanji bardzo zmartwiony i przez cały tydzień nic nie pił.

Fakt ten, jako wypadek nadzwyczajny, zapisany został przez Mendla kredą na szafie czerwonej.

X.

— A widzi Dyzio — mówiła z tryumfem pani Domicela, spoczywając na szeslongu w nader malowniczej pozie — zawsze Dyziowi mówiłam, że tak będzie... że ta plotkarka, intrygantka, ta piękność z kaczkowatym nosem doczeka się...

Dyzio uśmiechał się słodko.

— Droga kuzynko — mówił — nie uwierzysz jak jestem szczęśliwy...

— Ach — westchnęła pani Domicela — chciałabym temu wierzyć.

— Kuzynka wątpi?

— Ma się rozumieć.

— A to dlaczego?

— Bo Dyziowi będzie nudno na wsi, a w sądzie podobno roboty dużo.

— Jest wieś i wieś, kuzynko. Mnie w Biednowoli zawsze wesoło, a co się tyczy roboty, to w najgorszym razie Kaczor pomoże.

— Biedny profesor! Mnie się zdaje, że on wzdychał do tej zielonej piękności.

— Przecież nie jest ślepy, zresztą ja coś o nim słyszałem, podobno się żeni.

— Z kim? pierwszy raz słyszę.

— Z córką leśniczego z Zagnanki.

— Czy to pewne?

— Powiadają... ale niech go kuzynka sama spyta... oto właśnie idzie z Leonardem.

Pedagog z Kobzikowskim weszli do pokoju.

— A, panie Filipie—zawołała piękna Domicelka—nie spodziewałam się doprawdy... taka skrytość!

— Właściwie nie mam nic do skrywania. Chodziłem po-

żegnać państwa Imbierzyńskich, którzy oto przed chwilą odjechali.

— Już odjechali?

— Właściwie, już.

— Nie kazała mnie ta pani pożegnać? Nie przesyła mi ukłonów?

— Nie.

— No, przyznaj się pan... przecież nie odjechała by stąd nie zostawiwszy mi jakiego komplementu na pożegnanie.

— Komplementa, iż tak powiem, bywają względne.

— Al więc mówiła jednak! Co? co? mój panie Filipie, powtórz pan, tak mi jest zawsze smutno, że chciałabym się trochę rozweselić.

— Właściwie nie ma co powtarzać.

— Ale ja proszę.

— Nie mogę.

— Dlaczego?

— Gdyż to, co powiedziała, było cokolwiek, że tak się wyrażę, za ostre, chociaż w rozżaleniu, powiedziałbym w smutku...

— Proszę! więc odjeżdżała rozżalona... Krzyżyk na drogę, mieliśmy już dość tej damy... ale uważam panie Filipie, że i pan jesteś niewesoły. To źle, człowiek który się żeni... Wszak prawda że profesor żeni się? naturalnie w sekrecie przed dobrymi-znajomymi, którzy dowiadują się o tem wypadkowo.

Pedagog zarumienił się.

— Istotnie—rzekł—jeżeli mam powiedzieć prawdę, to wyrażając się poniekąd ściśle, pragnąłbym, to jest życzyłbym sobie założyć ognisko domowe...

— Ognisko! cóż za wyrażenie!

— Przyjęte do pewnego stopnia, nawet poniekąd, że tak powiem, utarte... Miałem te zamiary, ale z wyjazdem państwa Imbierzyńskich rzecz się cokolwiek zmienia.

— Przecież Imbierzyńska nie będzie panu ślubu dawała...

— Zapewne, ale wiadomo pani, że szczupła moja pensyjka na utrzymanie żony niezupełnie wystarczy, nawet, że tak wprost powiem, nie wystarczy wcale, a przy Imbierzyńskim miałem jakiś zarobek.

— Sądzisz pan, że Dyzio nie da panu tego zaroku?

— Nie wiem, jak pan Boberkiewicz zapatrywać się będzie na moje uzdolnienie i charakter pisma.

— Ależ kochany pedagogu! — rzekł protekcyjonalnie Dyzio, zapewniam cię, że będziesz miał po uszy roboty.

— Dziękuję... owszem, bardzo nawet dziękuję.

— Wierzę temu — odezwał się Kobzikowski — kochany nasz kuzynek nie lubi, bardzo nie lubi pisać, nawet w powiecie nazywali go referentem od majówek i wieczorków tańczących.

— Eh, mój mężu — wtrąciła pani Domicella — Dyzio był referentem od wieczorków i wytańcował sobie posadę sekretarza w sądzie, a ty zawsze byłeś i jesteś gamajdą i gdyby nie to, że ja za ciebie musiałam tańcować, to doprawdy nie wiem czybyśmy z głodu nie pomarli. I stąd już byłbyś dwadzieścia cztery razy wyleciał, gdyby nie to, że ja sama wszystkiem rządę i gminę wzorowo prowadzę!

— Domicelka zawsze jedno powtarza.

— Prawdę mówię, szczerą prawdę, żeby nie ja, nie moja energja, to cóżby ta gmina była warta? Zapytaj się Dyzia, niech powie co w powiecie mówią.

— Istotnie, kochany kuzynie — odezwał się Boberkiewicz — mogę poświadczyć, że tutejsza gmina ma najlepszą opinię w powiecie.

— Ale niech Dyzio powie, komu to zawdzięcza?

— Tak, tak, i gdyby nie owo wystąpienie glupiego chło-

pa, wtenczas, pamiętacie przecie, byłbyś kuzynek wójtem jak dwa a dwa cztery.

— Wtenczas go jednozgodnie okrzyknięto gamajdą.

— A, moja Domicelko, wybacz mi prośbę, ale jam temu nie winien, że mnie tak, nawet przy ludziach, nazywasz.

— Zasługujesz.

— No, no, wtrącił Boberkiewicz, stało się już, ale to rzecz do naprawienia.

— Więc mogę liczyć na łaskawe względy pana sekretarza— spytał nieśmiało nauczyciel.

— Jak na cztery tuzy, panie profesorze, licz na pewno.

— W takim razie dziękuje — i pożegnaj państwa.

— Jakto? profesor odchodzi?— spytała pani Kobzikowska.

— Muszę, pryrzekłem poniekąd.

— Ach! do Zagnanki, do panny.

— Właściwie...

— O, dziś to zupełnie niewłaściwie. Pan chyba nie wiesz co jest dziś?

— Czwartek, jeżeli się nie mylę.

— Tak, dziś czwartek — ale jaki czwartek! Kuzynek nasz Dyzio obejmuje posadę — porozsyłałam z tego powodu zaproszenia. Będzie u nas kilka osób, zabawisz się pan.

— Nie mogę.

— Przecież tym razem, na moją prośbę...

— Kuzynko — szepnął rozpromieniony Dyzio — nie nalegaj, miłość wzywa pana profesora.

— Czy tak? panie Filipie, czy pan bardzo zakochany? przyznaj się pan.

Nauczyciel zaczerwienił się jak burak.

— Właściwie, że się tak wyrażę, nie potrafię ściśle określić tego uczucia.

— Ale uczucie jest, wtrącił śmiejąc się Boberkiewicz.

— Nie powiem, żeby nie istniało... tak, właściwie bowiem ono jest.

Pedagog nie dał się skusić uprzejmem zaproszeniem gospodyni i pożegnawszy państwa Kobzikowskich, oraz nowo kreowanego dygnitarza, poszedł ku Zagnance.

Szedł ścieżką, która się wiała wśród łąk barwnych, kwiecistych i marzył o pięknych oczach, takich modrych, jak niezapominajki nad rowami rosnące, a takich szczególnie dobrych, że opowiedzieć trudno. Biedny pedagog zapragnął szczęścia, chciał założyć własne ognisko rodzinne, mieć zawsze koło siebie owe piękne, modre oczy. Wprawdzie i on i właścicielka owych oczu, oprócz serc gorących, niewiele więcej do wspólki małżeńskiej wnieść mogli, ale nie wymagali też wiele od losu. On będzie dalej krzewił oświatę w Biednej-Woli, korzystał z łaskawej protekcji panów Boberkiewicza i Kobzikowskiego, którzy mu dadzą przepisywaniem coś zarobić — a ona, jego przyszła, uczyła się przez dwa lata szycia, więc od czasu do czasu uszyje dla jakiej elegantki sukienkę. Stąd coś, stamtąd coś wpadnie i będzie dobrze, może nawet bardzo dobrze...

Kronika biednowolska twierdzi, że się wszystkie te marzenia spełniły i że państwo Kaczorowie byli bardzo szczęśliwi. Podobno później spadła na nich jakaś sukcesyjka, wzięli więc trzydziestomorgowe gospodarstwo w dzierżawę i dorabiali się fortuny, oraz wielkiego miru i poważania w okolicy.

Biednowola śpi, otulona w biały płaszcz ze śniegu. Pola i łąki wypoczywają pod onem puchowem przykryciem, śpi rzeka pod grubym pancerzem lodowym. Drzemią sosny w lesie, dźwigając na swych konarach fantastyczne białe festony.

Bieleją strzechy domostw, bieleją wielki spadzisty dach

karczmy, i gmina i sąd, a z pomiędzy lip starych, odartych już z liści, w górę wystrzela smukła wieżyczka kościelna — połączany krzyżyk na niej błyszczy i mieni się w łagodnem świetle miesiąca na pełni, co zawiesił się wysoko na czystem gwiazdami usianem niebie i rozsypał promienie swoje blade po polach, ubielonych, po łąkach; rozsiał je niby srebrne nici między sosnami w lesie, ślizgał się nimi po zamarłej powierzchni rzeki.

W chatach cicho—nigdzie światła, w jednej tylko karczmie czerwonawy płomyk lampki niewyraźnie mruga, zresztą nigdzie ruchu, nigdzie żadnego śladu życia.

Wartownicy z pałkami, w budzie swojej zakopani w słomę śpią, psy schroniły się pod zabudowania.

Za parę godzin, gdy na grzędach koguty piac zaczną, gdy księżyc trochę ku zachodowi swojemu odpłynie, a stary zegar w kancelaryi gminnej czwartą godzinę wydzwoni, w chałupach ruch się zacznie.

Łuczywa błysną na kominach czerwonym płomieniem, żórawie studzienne skrzypną, baby i dziewczki do kądzieli zasiądą, a gospodarze i parobcy otworzą obory, aby koło dobytku obzrądek uczynić.

W półgodziny, może w godzinę później, Grządzikowski się zwlece z posłania. Kościół wielkimi kluczami otworzy i w sygnaturkę na „Anioł Pański” zadzwoni; później, znów godzinę dwie przeczekawszy, miesiąc całkiem się schowa, a natomiast od zimowego wschodu słoneczna jasność zabłyśnie i rozleje się po świecie całym potopem wielkiej światłości; a wtedy już się we wsi ruch doskonały uczyni, po stodołach rozlegnie się łoskot cepów, w kuźni kowal pocznie młotem stukać, a ten i ów gospodarz sanie wyszykuje i szkapinę do nich zaprzęże. Interesów bo różnych na świecie jest dość... jednemu do miasta droga wypadnie, innemu do powiatu z podatkiem, to znów do lasu po drzewo. — Tam oto

babina, głowę siedmioma chustkami otuliwszy, rubla w siedm gałganków zawinąwszy, na pocztę się powlecze, aby onego właśnie rubla posłać synowi co w wojsku jest, daleko od domu, temu synowi, co pisał, żeby mu się rubel okrutnie przydał w potrzebie. Zbudzi się wnet i życie w całej wiosce. Kobzikowski kancelaryę otworzy... pan Boberkiewicz akta do sprawy przygotuje, a nauczyciel stanie przed czarną tablicą i zacznie gromadce dzieci pokazywać wedle różnych rachunków sposoby.

Mendel otworzy wrota karczmy na przyjęcie stałych i przyradowych gości. My już, szanowny czytelniku, opuścimy Biednowolę i jej mieszkańców. Siedzieliśmy dość długo w tej wiosce, a że cierpliwość czytelnika musi mieć swe granice—a książka ostatnią kartę, przeto stosujemy się do tego niewzruszonego prawa i schylamy czoło przed jego potęgą.

Kończymy tedy biednowolską kronikę, chociaż nie przedstawiliśmy w niej wszystkich stron wioskowego życia, nie skreśliliśmy całego obrazu.

Jesteśmy w zgodzie z tem, co powiedziano było w przedmowie: nie obraz to, lecz szkice luźne, dorywcze, co oko widziało, co ucho słyszało, a poniekąd co serce odczuło... ręka przeniosła na papier.

Może jeszcze kiedy, w przyszłości, powrócimy do Biednowoli i naszych starych znajomych...

KONIEC.



**INSTYTUT
BADAŃ LITERACYJNYCH PAN**

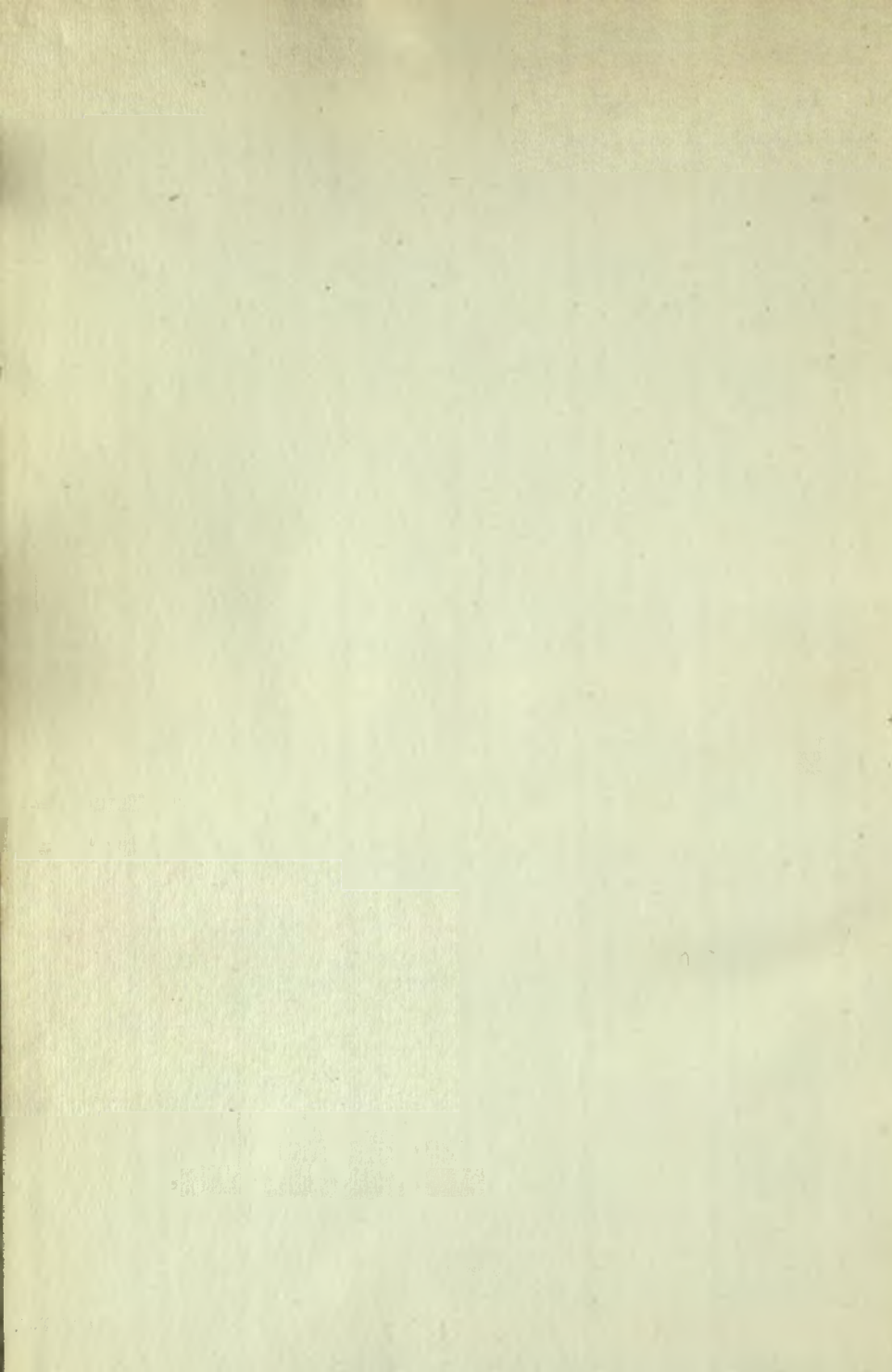
Biblioteka

ul. Nowy Świat 72

00-330 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-81 w. 42





F
1309

